1. Października. **Nr. 41.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa **„Nowin“** we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

VII.

Po odejściu Szeremeta powstało zamięszanie wielkie w domu pana Boromeusza. Wszystkim zabrakło nagle wątku do rady. I pani domu, niedawno jeszcze odważna i wytrzymująca z rezygnacją losu pociski, załamała teraz ręce i siedziała w niemym pogrążona smutku. Córki płakały po kątach. Jedna tylko Stasia wydobyła teraz cały zapas nagromadzonych robót i robiła pilnie. A chociaż i jej chwilami łza zakręciła się w oku, kiedy spojrzała na ojca, pocieszało ją to przynajmniej, że zapracowane pieniądze, które były przeznaczone na jej własne drobne wydatki — odda teraz ojcu.

Pan Boromeusz chodził po pokoju i potępiał wszystko i wszystkich. Ani się zastanawiał: kto winien? — Kiedy minęły pierwsze chwile rospaczy wywołanej nieszczęściem, opanowała go złość. Każdy go skrzywdził, kto mu nie dopomógł. Złość podawała mu rozmaite myśli a nakoniec i myśl ratowania się. I przyszedł mu na myśl stary szkolny kolega, u którego był niedawno. Powiedziawszy więc, że niebawem powróci, wybrał się do pana Anzelma Politatowskiego.

Wybrał się! — Poco? — Chciał pożyczyć kilkadziesiąt guldenów na opłacenie gdziekolwiek choć pomieszkania.

Zastał pana Anzelma Politatowskiego jak dobijał jakiegoś targu z żydem. Ale żyda znał pan Boromeusz; ujrzawszy go więc, chciał się cofnąć; lecz dziwna uprzejmość Politatowskiego powstrzymała go tym razem. Ani dojrzał jak żyd szepnął coś na ucho gospodarzowi, a ten pokręcił tylko głową jakby nadzwyczajnie tem zdziwiony.

Na chwilę wyszedł pan Politatowski z pokoju, a żyd stał już obok pana Boromeusza i mówił szybko:

— Myśli pan, że ja nie wiem czego pan tu przyszedł? — No, niech pan tak nie myśli. — Ja wiem, że pan dawno przyjaciel panu Politatowskiemu. Ja wiem, że pan stracił urząd; ale ja powiedziałem, że pan dostał awans, bo ja wiem także, że pan chce pożyczyć od pana Politatowskiego pieniędzy.

— Mój panie! to mnie obraża...

— Nu, niech o tem nikt nie wie, że ja pana obrażam, ale pan pożyczy. Jak pan dostanie, to niech ja będę pierwszy. Niech pan pamięta!

Pan Boromeusz Brzoza uczuł wyrzut sumienia; zawstydził się w duchu... chciał już uciekać i o nic nie prosić, ale pomyślawszy o dzieciach — został. Może liczył na Szeremeta, może, jak bywa zwykle w nieszczęściu liczył na jaki nadspodziewany wypadek, który go wyratuje?

Myślał więc, że jedno czy drugie, zawsze odda, bo oddać potrzeba tembardziej staremu przyjacielowi, któren na słowo pożycza.

I został i prosił pana Anzelma, a pan Anzelm rzekł:

— Ja jestem człowiek praktyczny i nie lubię takich interesów z przyjaźni. Ale kiedy ty awansowałeś na sekretarza a nawet nie mówisz o tem, to ja ci ten jeden raz zrobię wygodę i pożyczę. — Ale to ci powtarzam, że ja nie lubię z przyjaźni interesów i musisz na termin oddać jak żydowi.

Boromeuszowi ścięła się krew w żyłach, ścisnęło go za serce, język stracił moc władania, bo miał skłamać. Miał wyrzec: — Oddam — a nie miał pewności oddania.

Politatowski patrzał nań przez chwilę, ale nie widział ile to kosztowało jego dawnego kolegę, zanim dał przyrzeczenie. Spytał nakoniec po raz drugi:

— Oddasz mi niezawodnie ostatniego na przyszły miesiąc? — Powiedz, bo ja jestem człowiek praktyczny i muszę wiedzieć co ja będę miał jutro, tak jak wiem co mam dzisiaj.

Pan Boromeusz wyrzekł drżącym, niepewnym głosem:

— Tak, tak mój kochany, stary przyjacielu, jedyny... oddam niezawodnie za miesiąc.

Po danem przyrzeczeniu wyliczył pan Anzelm Politatowski sto guldenów i dodał:

— Jako człowiekowi praktycznemu nie bierz mi za złe, że chcę jeszcze od ciebie prostego kwitu. Ja jestem praktyczny i lubię formalność... Ja ci i tak wierzę, bo zresztą ty będziesz miał teraz ładną pensję jako sekretarz, ale ja lubię formalność. Napisz i podpisz.

Fikcyjny sekretarz napisał drżącą ręką skrypt na sto guldenów i podpisał nazwisko.

Za chwilę śpieszył pan Boromeusz ku domowi i oglądał się co chwila, jakby w obawie, ażeby go kto nie dogonił i nie odebrał podstępem pożyczonych pieniędzy. Dochodził już do kamienicy gdzie mieszkał, kiedy nagle posłyszał za sobą turkot i wołanie:

— Panie, panie! proszę pana, jedno słówko!

Pan Boromeusz wstrząsł się cały, a przystanąwszy ujrzał przed sobą przed chwilą u pana Politatowskiego będącego żyda.

Izraelita każdy, to także człowiek praktyczny i przystępuje wprost do interesu. Nie innym był i wierzyciel pana Boromeusza. Przystąpiwszy jak najbliżej, mówił szepcząc, ale wyraźnie:

— Proszę mi teraz dać te ośmdziesiąt guldenów!

— Jakto ośmdziesiąt? — zawołał oburzony pan Boromeusz. — Mój cały dług z doliczeniem ogromnych procentów jakie już panu wypłaciłem nawet, wynosi tylko sześćdziesiąt.

— No, co pan się gniewa? — Czego się tu gniewać? — Pan mi odda sześćdziesiąt... A dwadzieścia nie warty zrobiony interes?

— Bój się Boga! człowieku, — to mnie samemu zostałoby tylko dwadzieścia. A przecie nie wziąłem darem tych pieniędzy, ale muszę je oddać z czasem.

Żyd uśmiechnął się złośliwie i rzekł spokojnie:

— Anu pewnie, że pan musi oddać. — No, co zrobić, kiedy pan nie chce — to nie!

I nie mówiąc już i słowa więcej wsiadł nazad do dorożki i kazał nawrócić.

Pan Boromeusz patrzał przez chwilę za toczącą się po drodze dorożką z żydem i myślał: — Czemu on u djabła tak spokojny? — Ale uspokojony pozbywszy się natręta, poszedł dalej i wszedł weselszy do domu. Projektów znalazło się natychmiast mnóstwo, jak zarządzić najkorzystniej pieniądzmi, to jest jak ich i do czego użyć, ażeby wyprowadzić kapitał żelazny i źródło stałego dochodu?

Radzono z godzinę. Nakoniec około dziewiątej wieczór, gdy już drzwi wszystkie pozamykano, posłyszał pan Boromeusz gwałtowne stukanie do drzwi.

— Kto tam po nocy! — zawołał rozgniewany pan Brzoza.

— Ja jestem! — odparł głos ze sieni i mocniej jeszcze zakołatano do drzwi.

Pan Boromeusz otworzył, choć nie domyślał się ktoby to mógł być, i nagle cofnął się o kilka kroków.

W pokoju stał pan Anzelm Politatowski, ale zmieniony nie do poznania. Oczy zwykle blaskiem zuchwalstwa świecące wyszły na wierzch, że świeciły prawie białkami, usta drżały a dłonie ściskały się konwulsyjnie. Pierwszem jego słowem, wyrzeczonem głosem ochrypłym było:

— Oddaj! — I zamilkł nie mogąc mówić więcej. Powtórnie zawołał: — Oddaj! — I teraz dopiero rozwiązał mu się język.

— Oddaj moją pracę ty szachraju!

Pan Boromeusz poczerwieniał, ale powstrzymując się ile możności — rzekł drżącym od oburzenia głosem:

— Zastanów się i zawstydź się!

— Ty się wstydź! — Ja jestem człowiek praktyczny, ja muszę dbać o moje pieniądze! A tyś wycyganił, okłamał! — Ho, ho, — poczekaj! na raz sztuka! Nie potrzebuję przyjaźni! Ja sobie przyjaciół znajdę na fury, a ty mi oddaj moje pieniądze, ty nie sekretarzu, ale nędzarzu!

Pan Boromeusz jak przed chwilą czerwony, tak pobladł znowu nagle, rozerwał spięty surdut i wyjmując z kieszeni nienaruszone jeszcze pieniądze, rzucił je w twarz Politatowskiemu.

— Wolę, wolę być nędzarzem, niż tak ohydnem, brudnem stworzeniem! To aspan sądziłeś, że jabym dla stu guldenów uciekał się do kłamstwa? Kto ci powiedział, że zostałem sekretarzem?... A kto znowu może mi zarzucić, że choć los wtrącił mię w nędzę, ja zostałem dla tego podłym! Jabym ci twoje pieniądze był pamiętał jak dobrodziejstwo a dług rzetelnie oddał! Ale zabierz, zabierz je teraz i uchodź ty nie boskie stworzenie!

I wskazał ręką na drzwi niezamknięte.

Politatowski pozbierał rozrzucone banknoty, z najzimniejszą krwią przeliczył i zabierał się do odejścia, ale wrócił jeszcze jakby sobie co przypomniał. Wyjął pugilares i przeszukawszy go rzekł, kładąc papier na stole:

— Ja jestem człowiek praktyczny, ale nie odzieram ludzi. Widzisz mój przyjacielu, że mógłbym był schować skrypt twój, bo nie upomniałeś się; ale ja jestem sumienny, ja każdemu dobrze życzę.

Za chwilę zniknął za drzwiami i słychać było turkot oddalającego się powozu.

Pan Boromeusz pozostał w niemem osłupieniu siedząc tak do północy. Przychodziła żona, córki. Zapytywały, płakały, nic nie pomogło. Nakoniec znużony zasnął twardo jak siedział.

Szeremetowi nie wiodło się lepiej tego wieczora. Poszedł po list, otrzymał. Ale list był następujący:

»Drogi Olesiu!

Zrobiłeś mi wiele złego i wielce dotąd dziki jesteś. Ale przebaczam ci wszystko, jeśli wypełnisz moje życzenia. Trzeba ci otarcia w świecie. Pójdziesz jutro do pana Racimorowskiego starego, który zastępuje mię czasem w moich interesach — a on ci da pieniądze na drogę. Pewien młody człowiek potrzebuje towarzystwa w drodze za granicą, jedź z nim. Jak powrócisz za rok, będzie właśnie czas pomyśleć o dobrej partji dla ciebie. Musisz mi dać słowo, że ożenisz się z panną Malwiną, moją kuzynką. Piękna z was będzie para. Ja ci potem oddam cały mój majątek, ale porzuć także wszelkie maszyny, młotki i inne niegodne twojej familji p o m a t c e godła. Wybij sobie z głowy protekcję a usłuchaj mię, to będziesz szczęśliwy. Ale tylko jeśli spełnisz moje życzenia. Takiego tylko siostrzeńca piszę się przywiązaną ciotką.

Regina Heterowska.«

Szeremet odczytał list kilka razy i zawsze jeden i ten sam warunek. Jeden nie do przyjęcia, drugi do spełnienia bardzo trudny. Wyjechać na rok cały, nie widzieć Stasi — ciężko! Ale można by pomódz rodzinie temi przyrzeczonemi sumami na drogę. Jechać więc, albo nie jechać? Ciężko to bardzo opuszczać ukochane serce!... I myślał, że trzebaby także skłamać; powiedzieć, że nie tylko jedzie, ale powróciwszy słowa dotrzyma i odda serce tej, której nie zna, albo niegodnej serca jego. Bo wszakże wiązać się ślubem, to znaczy dzielić duszę, ale jeżeli duchy niezgodne, bo nie znały się jeszcze przed ślubem?...

Tak myślał Szeremet i postanowił nakoniec nie skłamać, a zatem odmówić poprostu. Można było wziąć ofiarowane pieniądze i jechać z owym kimś pewnym; powróciwszy można było powiedzieć, że namyśla się inaczej i dobrą partję odrzuca. I o tem myślał Szeremet, i znowu przedsięwziął pójść prostą drogą. Czy do celu, to inna rzecz. Do celu droga była daleką, bo nie korzystał, nie chciał korzystać ze sposobności odrwienia ludzi. Nie szedł więc drogą, która, wiedział, że praktyczna, ale krzywa. Nie słuchał ludzi mających dla niego chęci najlepsze.

I jakże tu rozwinąć w ludziach sumiennych zmysł praktyczny, chęć wyzyskania nadarzającej się sposobności?

Szeremet chodził po swej izdebce i wzdychał.

— Prosta droga wiedzie mię do nędzy, może do większej jak dziś. Pracy nawet na tej drodze znaleść nie mogę, a nawet jednego przychylnego, popierającego mnie słowa. Chcąc wygrać na tej wielkiej loterji światowej, czyliż koniecznie mam deptać własne uczucia albo kłamać? — Ha! — nie ma dla nich nic świętego, nie ma! Więc i ja nie mam z nimi nic spólnego! Ale spróbuję i pójdę do pana Racimorowskiego. Jeżeli to człowiek starej daty, powinienby uszanować uczucia moje, powinien dopomódz wstawieniem się za mną, podaniem mi sposobu godziwego do zapracowania na chleb.

Po ścisłem rozważeniu tego co zrobił i co zamierzał jutro — uspokoił się cokolwiek. Zmęczony był i był głodny. Tylko całodzienne szamotanie się z uczuciami zrobiło, że zapomniał o głodzie dokuczliwym. Nic nie jadł od rana, ale nic nie miał i na wieczór. Późno już było i nie chciał wychodzić. Położył się w odzieniu na sofie i czekać chciał poranku. Dla ludzi bez doli jest nawet chwila spoczynku, chwilą oczekiwania.

Zasypiają, ażeby doczekać jutra, które może będzie pomyślniejsze. Wstają i oczekują z upragnieniem wieczoru i nocy, która ma zabić snem ciężkim ich cięższe stokroć troski.

Gdzietam, nawet nie wszyscy mogą spać spokojnie. Szeremet zasnął i miał sny trapiące. Obudził się i trapiła go rzeczywistość. Sięgnął po list. Słowa w liście zawarte przemawiały wprost: To jest mojem życzeniem, to cię zbawi, jeżeli — oczewiście — zechcesz!

Szeremet westchnął:

— Ach! czyżbym nie chciał?

Chciał ratować się — pracować — ale chciał pozostać panem swojej woli; a życzenia ciotki odbierały mu tę wolę. Wstał i chodził jak nieraz przedtem, ale nigdy z taką rozpaczą w sercu. Otworzył okno; piękny, pogodny poranek ale chłodny. Pierwsze dnie listopada, zwiastuny zimy, a on chodził jeszcze jak w lecie.

A kiedy pomyślał o Stasi a szukał naprożno myśli podającej zbawienie, zadrżał, bo — zima ma swoje prawa. Ojciec jej dziś po prostu żebrakiem, u nich w domu żadnych zasobów — nędza! Co oni poczną? — Myślami takiemi dręczony wybrał się z domu w celu wynalezienia pracy już bodaj tymczasowej, aby zarobić na dziś, jutro, ot aby przeżyć.

Obchodził po kolei wszystkie miejsca, z których brał różnemi czasy prace rozmaite, jak przepisywanie, malowanie sztychów do książeczek i t. p., ale wszędzie powiedziano, że trzeba zgłosić się później.

Była już godzina dziesiąta rano, gdy wracał zmęczony do domu. Wkrótce trzeba było iść do pana Racimorowskiego, odmówić lub przyjąć warunki podane przez ciotkę; ale przedewszystkiem natura ludzka dopominała się zaspokojenia głodu. Wczoraj cały dzień pościł, żył uczuciami, niepokojem; dzisiaj opuszczały go prawie siły. W takim prawie nieczułości stanie idąc, posłyszał za sobą kroki raźniejsze.

Był to Cezar — poznawszy Szeremeta, biegł za nim. Szeremet stanął, i podając rękę Cezarowi, zapytał:

— Byłeś pan w domu?

— Byłem i uciekłem z domu, bo cóż ja tam poradzę?

Szeremet milczał. — Szli tak przez chwilę, aż znowu odezwał się Cezar:

— Umyślnie do pana szedłem, mam pilną robotę, może mi pan pozwoli pisać u siebie?

— Owszem i mogę nawet dopomódz panu jeśli co tak pilnego.

— Wziąłem do przepisania sztukę — jakiś dramat. Dyrektor naszego teatru prowincjonalnego chce ją mieć na jutro, to będę musiał pisać nawet przez noc. Nie śmiałem panu proponować tej roboty, ale jeżeli pan chce?...

— I owszem, i owszem! będę panu wdzięczny — odparł Szeremet. — W tej chwili powracam z wyprawy za robotą, której naprożno dziś szukałem.

— Ale bo to u nas nie bardzo dobrze płacą za takie przepisywanie — zauważał Cezar.

— Bądź pan zadowolony, żeś znalazł robotę. Mówisz mi, że źle płacą? — Jest dzisiaj tak wiele rąk do podobnej pracy, że dobrze jeszcze jak każda z nich bodaj guldena na dzień zarobi.

— To trudno!

— Po czemuż płacą od arkusza? — zapytał Szeremet.

— Już to dobrze jak zapłacą po piętnaście centów od arkusza, a zwykle po dziesięć.

— Dziesięć? — Hm, dziesięć godzin dziennie przy takiej pracy siedzieć niepodobna! To trochę nie po ludzku.

— Wziąłem już nawet a konto tej roboty guldena. Może pan potrzebuje z połowę tego na papier?

Szeremet uśmiechnął się i rzekł po chwili:

— Do czego to politykowanie? — Przedwczoraj widziałeś mię bez grosza, dzień wczorajszy był jeszcze gorszy; przeżyłem go wodą, bo mię trawiła gorączka. Dziś nie mam jeszcze gorączki, ale głodny jestem; nie na papier więc, ale na śniadanie wezmę zaliczkę na to przepisywanie.

Cezar był widocznie uradowany szczerem postępowaniem Szeremeta, a nie mniej i uczuciem, że go chwilowo ratował z przykrego położenia.

Poszli razem na śniadanie. Cezar przypomniał Szeremetowi rodzinę ze wsi, od której wynajmował izdebkę pod strychem i oświadczył gotowość opowiedzenia całego zajścia, nim pan Paweł przeniósł się do Lwowa a on wstąpił do teatru.

VIII.

Szeremet ułożył sobie, że pójdzie o godzinie jedenastej do pana Racimorowskiego a pójdzie oświadczyć zrzeczenie się łask ofiarowanych przez panią Heterowską, bo warunków jej przyjąć ani życzeń spełnić nie mógł. Tymczasem postanowił wysłuchać historji Cezara.

— Ojciec mię wyprawił — zaczął Cezar — na czas wakacyj na wieś, abym zarobił choć na książki przyjąwszy obowiązki nauczyciela domowego u pana Z. Miałem jednego chłopca i uczyłem go przez czas wakacyj.

Gdy przyszło wyjeżdżać, wracać do miasta, ja nie chciałem, bom poznał był właśnie córkę pana Pawła, którą pan także znasz. Ojciec gniewał się na mnie, ale potem

dał spokój. Zostałem więc i uczyłem później także dwóch braci Anusi. Pan Z. nie wiedział o tem z początku; dowiedziawszy się, patrzał niechętnie, ale milczał, bo synek jego polubił mię i dobrze się uczył. — Ale krótko trwało moje szczęście, bo było wielkie. Biegaliśmy z Anusią w wolnych chwilach po łąkach, po górach, i wtedy ją uczyłem a sam kochałem z każdą godziną mocniej, bo znowu oczy jej uczyły mię kochania. Pan Z. miał także córkę, z którą żyliśmy w niezgodzie; ona nie lubiła Anusi, ja jej. Bywało wielu młodych ludzi. Raz któryś z tych paniczów zwrócił uwagę na Anusię, chodził za nią, gadał grzeczności, które obrażały. Nakoniec zapalił się brudną żądzą; myślał, że wiejska dziewczyna powinna rzucić się w jego objęcia na skinienie, za jednem wejrzeniem. Prześladował ją długo i raz spotkałem go pędzącego za nią już za wsią. Pobiegłem z kijem w ręku; ale oburzony zrobiłem inaczej jak zamierzyłem. Było to nad stawem... ja, do szaleństwa przywiedziony wtrąciłem go do wody... Nie utonął, ale słyszał śmiech prawie połowy ludności wioski. Poleciał on rozwścieklony do dworu i zebrawszy jeszcze trzech konkurentów nie żądał odwetu w pojedynku, ale chciał mię znieważyć obiciem. Tymczasem pan Paweł — ojciec Anusi — stanął znowu w mojej obronie, i tak, nie nas panicze, ale my ich obiliśmy porządnie. Ze wstydem wyjeżdżali co prędzej ze dworu. Ja zaś musiałem się niezwłocznie wynosić, a ojca Anusi oskarżył pan Z. w powiecie i wymówił mu miejsce.

To cała krótka, wierna historja. Pan Paweł został na bruku, ja zostałem artystą i dziś...

Tu przerwał Cezar swoje opowiadanie.

— Smutny jej koniec — rzekł Szeremet.

— Gdybym tylko mógł dostać się na scenę lwowską!

— Staraj się, kiedy już tylko na scenie widzisz swój ratunek. — Tymczasem — masz pan klucz od mego pomieszkania. Powrócę najdalej za godzinę i będziemy razem pisać.

Co powiedziawszy, Szeremet oddalił się idąc do pana Racimorowskiego; Cezar udał się do pomieszkania Szeremeta.

Pół godziny namyślał się Szeremet, zanim poszedł do pana Racimorowskiego. Było już pół na dwunastą gdy wchodził do kamienicy przy ulicy Jezuickiej. Ale i ta zwłoka nie odwiodła go od postanowienia raz powziętego. Chciał warunków cioci Heterowskiej nie przyjąć, chciał prosić natomiast o wprowadzenie w świat.

Zadzwonił. — Wyszedł lokaj i niezwłocznie poprowadził Szeremeta dalej, oświadczając jednak, że ktoś jest w tej chwili u pana Racimorowskiego.

— Ale pan prosi, aby pan był łaskaw zaczekać w salonie — rzekł lokaj, który chodził oznajmiać przybycie gościa.

Szeremet przeszedł jeden pokój i zatrzymał się w salonie.

Pozostał sam, miał znowu czas do namysłu. Nie namyślał się jednak; ale słuchał, bo z przyległego choć zamkniętego pokoju dochodziła go dość głośna rozmowa. Gdyby i nie chciał, musiałby ją słyszeć, bo raz pochwyciwszy słowo, czynnym być zaczyna zmysł słuchu a milknie myśl własna, tembardziej, jeżeli dokoła panuje spokój, cisza zupełna. Szeremet usiadł i słuchał. — Nieznany mu głos mówił:

— Raz panu powiedziałem — prosiłem nawet, i teraz proszę: zechciej mię pan uwolnić!

— O! panie dobrodzieju! — Czy pan nie możesz wyobrazić sobie ile człowiek znieść musi patrząc na nędzę dzieci? — A ja proszę pana tylko o kilka dni zwłoki, tylko o dwa dni nareszcie!

Na ten drugi głos zadrżał Szeremet; poznawał głos pana Boromeusza Brzozy. Powstał, przeszedł niespokojnie po pokoju i usiadł znowu zirytowany.

I znowu drugi głos, który był głosem pana Racimorowskiego mówił:

— Ale nie gadaj pan dzieciństwa! Ja muszę dać restaurację — późna jesień, a pan żądasz odemnie zwłoki.

— Nie mam prawa żądać, ja błagam pana o to.

— Lepiej by było robić zawsze to tylko, do czego uprawnieni jesteśmy, i zawsze stosować się do okoliczności.

— O! zechciej pan wglądnąć w moje położenie, nie bądź pan tak surowym! Będę panu wdzięczny i obowiązany do śmierci. Panie! — ja na starość zostałem bez kawałka chleba, z żoną, dziećmi, obarczony długami. Ja nie narzekam na nikogo, ale przecie mam żal! Bo za cóż to tracę służbę, ja, tu urodzony, na tej ziemi, chyba dlatego, że nie zabiłem sam własnej duszy, że byłem i jestem Polakiem aż do śmierci? Powiedzieli może łaskawemu panu, że popełniłem nieformalności jakie — że nie subordynacja przyprawiła mię o stratę posady rządowej? Mogli — mogą wszystko powiedzieć. Ale dziś jak przedtem: przybędzie cudzoziemiec i ma pierwszeństwo, protekcję, względy, a my tutejsi na żadne względy liczyć nie możemy. O panie! — ulituj się prawie nad żebrakiem — nie każ pan wyrzucać na ulicę ostatków własności rodziny mojej! Wierz mi pan, gdybyś znał całą moją sprawę, przyznałbyś, że mała moja wina, p r a w i e ż a d n a. Szedłem do pana w nadziei, że pan mi przynajmniej pozwoli choć miesiąc jeszcze przemieszkać — mam nadzieję, bo któż, kto prędzej mógłby mię poratować? Pan przecie sam przechodziłeś różne koleje, służyłeś świętej sprawie...

— Ale dajże pan spokój tym bredniom! — zawołał nagle pan Racimorowski. — Mówiłem panu dawno, że nie umiesz się rządzić. Czy kazałem, prosiłem abyś brał tak obszerne pomieszkanie? Jak sobie kto pościeli, tak się wyspi. Raz powiedziałem, a teraz ostatni raz powtarzam, że nic panu nie poradzę. A pan byś widzę chciał mię jeszcze kompromitować? Trzeba uznawać za dobre to, co jest, czyli: być lojalnym, temci więcej urzędnikowi. Wdawałeś się pan w niepotrzebne jakieś konszachty podczas powstania, a teraz chcesz mojej pomocy — chcesz — abym się kompromitował? — Proszę, błagam pana zabieraj swoje rzeczy i opróżniaj pomieszkanie. Wyrzekam się nawet zaległego czynszu za półtrzecia miesiąca.

— Schowaj pan tę łaskę dla lojalnych panie kapitanie byłych wojsk polskich! O! szkoda, że się upokarzałem jak niemniejsza szkoda, że pozwalają panu poniewierać uczciwe tytuły. To tak? — to pan wie nawet — o czem nie mówiłem, bo się tem nie chlubię com zrobił jako Polak, to pan wie dlaczego głównie odebrano mi

służbę przy urzędzie? I wiedząc, możesz tak odzywać się? O! szkoda, szkoda tej ziemi, gdyby miała więcej takich synów jak pan, panie kapitanie byłych wojsk polskich.

I ucichło nagle. Drzwi otworzyły się z impetem i wybiegł pan Boromeusz Brzoza; przebiegł w okamgnieniu salon, nie spostrzegłszy nawet Szeremeta.

We drzwiach ukazała się postać pana Racimorowskiego ze słodkim uśmiechem na ustach. Zapraszał uprzejmie Szeremeta.

Na czoło Szeremeta wystąpił pot zimny; miotany uczuciami jakich niepodobna opisać — wszedł machinalnie do gabinetu pana kapitana. Pojęcia jakie sobie wyrobił o człowieku walczącym przed trzydziestą kilku laty za wolność i ojczyznę — runęły na wstępie, pierwiej jeszcze, zanim wymienił z nim jedno słowo. Szeremet wyobrażał sobie, że zobaczy człowieka serdecznego, że zwierzy się przed nim, że ten człowiek starej daty poda mu dłoń silną, zachęci do pracy i wpłynie nawet na ciotkę. Tymczasem ujrzał uprzejmość, ceremonje, człowieka jakby przepędził życie w biurze a nie na polu walki; ujrzał elastyczną mumię, uprzejmą, ale bez serca.

— Cieszę się mocno ze sposobności poznania kuzyna pani Heterowskiej — zaczął pan Racimorowski wskazując krzesło Szeremetowi.

Szeremet usiadł i milczał.

Pan Racimorowski ciągnął dalej:

— Cieszę się bardzo i uważam jako jeden z najmilszych obowiązków, które mi poleciła pani Regina — o! tak, tę chwilę zapoznania się z panem. Sądzę, że pan z wdzięcznością przyjmiesz projekt... a miło mi będzie oznajmić o tem pani Heterowskiej.

— Przykro mi bardzo, bo może nie będę mógł zgodzić się zupełnie — odparł Szeremet.

— Pan się wahasz? — Gdybym tak był młodszy nie namyślałbym się ani chwili! Proponują panu podróż; a czyż może być co przyjemniejszego dla człowieka z wykształceniem?

— Tak, podróż... Ale jest drugi warunek, na który stanowczo zgodzić się nie mogę.

— Proponują panu świetną partję! Coś podobnego nie odrzuca się lekkomyślnie. Panna Malwina dostanie, to najmniej, trzydzieści tysięcy posagu.

— Ale ja jej nie znam.

— Życzysz pan sobie zabrać znajomość przed wyjazdem? Bardzo słusznie. Dziś popołudniu będzie u mnie z matką. Jest już dobrze uprzedzona o panu.

Tu powstał pan Racimorowski, poszedł do biurka i wyjąwszy opieczętowany list — rzekł kładąc go na stole przed Szeremetem:

— Jest to mały kapitał, który polecono mi wręczyć panu. Na pierwsze wyekwipowanie wystarczy. Cokolwiek pan zapomniałeś o sobie, ale nikt tego nie poczyta za wadę. Miałeś pan swoje zapatrywanie, przekonałeś się, że byłeś na błędnej drodze...

Szeremet powstał i przerwał:

— Przepraszam!...

— Miałem powiedzieć — nie zgadzałeś się pan z nami. — Ach! panie, i ja biłem się długo z myślami, nim się zgodziłem z tym światem. Założę się, że nie ma prawie różnicy w przekonaniach naszych. Pan zapatrujesz się poetycznie, ja wiem, dla pana i najcięższa praca, to poezja! Jesteś człowiekiem pracy; mam wielki szacunek dla ludzi pracy. Oni to tylko na pomoc Opatrzności i na własne siły liczą; sam takim byłem.

Mówiąc to dotknął lekko dłoń Szeremeta, jakby pożądał uścisnąć go serdecznie.

Szeremet chciał mówić o swojem powołaniu, prosić o protekcją, to znowu wahał się chwilami i byłby przyjął podawaną mu tak hojnie pomoc, gdyby nie panna Malwina.

Nie ubliżał jej w duchu. Mogła ona być aniołem dobroci, pięknością idealną z ogromnym posagiem... Ale on kochał Stasię.

Możeby, myślał — przyjąć pieniądze i jechać na rok za granicę, a powróciwszy — zerwać? — Już upadł na duchu, już chciał dać słowo, aby je złamać; chciał wziąć pieniądze, aby niemi ratować nie siebie, ale ojca Stasi, gdy pan Racimorowski odezwał się ponownie:

— Niewymownie mnie to cieszy, że pan będziesz miał teraz chwilę wytchnienia. O! zasłużyłeś pan na to; słyszałem wiele od pani Reginy. Zanim ta podróż się ułoży, spodziewam się, że będę miał przyjemność wychylenia zdrowia młodej pary przy zaręczynach.

Szeremet odsunął machinalnie leżącą paczkę na stole i zerwał się z miejsca.

Po kilku jeszcze zapytaniach ze strony pana Racimorowskiego poznał Szeremet, że nie chciano go zrozumieć, i wyznał nakoniec otwarcie jakie ma zamiary. Pan kapitan, jakkolwiek wielce ubolewając, pochwalał jednak szczere chęci Szeremeta, jako człowieka pracy. Pochwalał pracę samą, dodał jednak, że nie wszyscy, — szczególniej ludzie, którym szczęście tak się uśmiecha jak Szeremetowi — że nie wszyscy tacy robią dobrze szukając tej żmudniejszej pracy, którąby należało zostawić ludziom nie mającym już żadnego sposobu do życia, oprócz pracy rąk i umysłowej.

Nareszcie, kiedy już Szeremet zabierał się do odejścia — rzekł pan Racimorowski:

— Byłoby mi bardzo miło, gdybym mógł panu przydać się na co? — O! zawsze niech pan liczy na najlepsze z mojej strony chęci. Ja mam nadzieję, że pan się namyślisz jeszcze; tymczasem — nie wiążąc pana niczem — służę — oto list polecający, jaki pan życzyłeś sobie mieć. Pan Justyn, do którego się pan udasz jest to człowiek z najlepszemi chęciami dla kraju, dla bliźnich... Słowem, co tylko w mocy jego, to zrobi dla pana.

I podawszy rękę Szeremetowi, w pół zgięty dodał:

— Żegnam — żegnam pana.

Szeremet przyjął list i wyszedł z domu.

Był na ulicy; i między ludźmi, do których udawał się, był także jakby na ulicy.

I miał znowu przed sobą — ot tyle, jakby nic!

Miał wprawdzie list polecający, ale doznał już tak wiele nieuczynności, że nie dowierzał aby coś mógł uzyskać.

Przypomniał sobie o najbliższej przeszłości. Wziął rano pół guldena za przepisywanie, a stracił już kilka godzin czasu. Pobiegł przez ulicę Jezuicką w górę i śpieszył do

domu. Obawiał się zachodzić do domu pana Boromeusza, bo spodziewał się, że zobaczy tam nie radość... A pocieszać mógłże czem? — Sam był złamanym chwilowo. — Ani pocieszać ani radzić nie był w stanie; sam byłby potrzebował rozbudzenia ze stanu nieczułości w jaki popadł.

Szedł do domu, bo miał zamiar odrobić przyjęte rano kilkadziesiąt centów. O tem tylko myślał. Wszedł do izdebki, zastał pracującego Cezara; ale nie przemówił i słowa, tylko wziął się do roboty i nie spoczął aż około godziny piątej o zmierzchu. (C. d. n.)

Rejtan.

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

REJTAN (*do Ponińskiego*).

Gwałt zostaw na stronie —
Bo pomnij panie, że przed majestatem
Stoisz narodu!... A ja ci powiadam,
Żeś jest narodu mojego Piłatem!
Najuroczystszy więc protest zakładam
Przeciw twojemu tej laski dzierżeniu
I miejsca, które zły zamiar twój niańczy —
Boś tu nie stanął w woli pogodzeniu
Ogólnej, ale w sposób samozwańczy!
A jeśli taki sposób ma być z prawem,
Więc... (*Wchodzi na podwyższenie*).
oto również stawam tu do laski!...
Cóż! patrzysz na mnie okiem złem i krwawem?
Czy, żem odchylił nieco twojej maski?...
Dla czego trzęsiesz się tak, złością blady?
Wszak ci to twoim postępuję torem,
I w twoich krzywych dróg wstępuję ślady?...
O! Waszmość jesteś okropnym upiorem
Złego — tej ziemi nieszczęśliwej trądem!...

PONIŃSKI.

Czego chcesz?!...

REJTAN.

Twego z miejsc tych ustąpienia!
Zresztą pozostań!... gorzej to z twym sądem: —
Przy tobie prawo mam, przewodniczenia
Tej świetnej Izbie. — Zatem...

(*Bierze laskę i stuka nią trzy razy*).

PONIŃSKI (*wydzierając mu laskę*).

Potępieńcze!

LUBOMIRSKI (*zrywając się*).

Dość tej obrazy!

MŁODZIEJOWSKI (*postępuje ku podwyższeniu*).

Dość, dość!

REJTAN.

Ha, nareszcie
Cierpliwość waszą, jak widzę, już męczę!...
O, Ten co w niebie, ma jej więcej — wierzcie!
Inaczej pustką stoją wasze domy,
Tylko samopas chodzące pioruny
Szukają żywych tej nowej Sodomy...

(*Do Ponińskiego*).

Próżne jest zatem to krwi twojej psucie: —
Nie mają tutaj wstępu twoje straże,
Któreś gotowe na cięcie i kłucie
— Czując, że przyjdę tu, i cię oskarżę —
U wrót tej Izby poselskiej postawił;
Jam się tu przebił przez twą zbrojną tłuszczę,
Więc nie myśl, ktoby cię z rąk mych wybawił!...
Ja marszałkostwa tego nie dopuszczę.
Choćbym się u twych stóp trupem powalił!
Jako mię widzisz, mówiąc w żywe oczy:
Że nie zezwolę byś się tu utrwalił!

PONIŃSKI.

Ha, niech więc walka dalej się potoczy!
Dobrze! —

MŁODZIEJOWSKI.

Obaczym, z kim będzie zwycięztwo?

PONIŃSKI (*zwracając się do Izby*).

Wysoki Sejmie! strasznie niegodziwie
Zelżony proszę, byś wyrzekł przekleństwo
Sprośnego czynu, co w sposób prawdziwie
Ohydny, dotknął mej poczciwej sławy,
Jak i godności tej to — nie kradzionej —
Dalszej z Ichmościem nie chcę mieć rozprawy...
Wraz ustępuję ztąd, bardzo skrzywdzony,
Jak i okropnie swą krzywdę czujący.
Jawnej w tej chwili ustąpię przemocy —

(*Do Rejtana*).

Spotkanie z Waściem, szaleństwem gorący,
Składam na inne miejsce i czas!...

REJTAN.

W nocy
Możebyś zechciał panie, na mnie godzić
I skrycie?...

PONIŃSKI.

Miecz mój błyśnie światłem słońca
I prawdy!... (*Do Izby*).
Zatem, zmuszony uchodzić
Przed tym szaleńcem, z którym bym do końca
Nie zaszedł drogą wyrozumiałości:
Świadczę się Bogiem i Wami szanowni!
Jakom był tutaj celem brzydkiej złości;
A niechcąc czynić karczemnej widowni
W Izbie poselskiej, tak jako przystało
Na męża, który jest praw swoich świadom,
Odchodzę — z wielką, poczuwaną chwałą
Swej niewinności! —

(*Zchodzi z podwyższenia i odchodzi z Lubomirskim, Młodziejowskim, Radziwiłłem, Gacykiem i kilku posłami*).

REJTAN (*za odchodącymi*)

Tej pewnie, co gadom
Otwiera czasem drzwi do chaty człeka,
Litującego się ich...

(*Robi znak krzyża w powietrzu za odchodzącymi*).

In nomine
Patris!... Tam poseł moskiewski was czeka,
I świeżem żądłem zasili gadzinę...

(*Zamyka drzwi za nimi*).

Scena III.

DAWNI — oprócz PONIŃSKIEGO, LUBOMIRSKIEGO, MŁODZIEJOWSKIEGO, RADZIWIŁŁA i GACYKA.

REJTAN.

Chwała! więc można odetchnąć powietrzem! —
Jednak... uważam, wszystkie twarze blade...
Bądźcie spokojni! teraz z sercem letszem

Możemy przecie obradować... Zdradę
Jam egzorcyzmy wygnał ztąd — Bóg z nami! —
Odetchnąć można nareszcie i ożyć
Jakąś nadzieją!... O, bądźcie synami
Tej biednej ziemi! Wiary nam dołożyć
Całej, i całej miłości serdecznej
Teraz, a zbawim kraj!

KORSAK.

Upraszam zatem,
Byśmy corychlej zeszli na stateczny
Tryb tego sejmu.

DUNIN.

Kto więc nie jest katem,
Zbójcą ohydnym, niechże się nie leni
W pracy, a z pory stosownej korzysta:
I teraz, kiedy wróg nasz się rumieni,
Dowiedźmy, czem nam jest sprawa ojczysta,
Czem mąż, w swej ziemi roskochany!

REJTAN.

Tak! w naszych sercach leżą teraz losy
Ojczyzny! Zatem działajmy! — O Stany
Poselskie! ziem swych powszechnemi głosy
Ustanowione na straż dawnych granic
Rzeczpospolitej i praw starodawnych!
Baczcie, by sejm ten nie był tylko na nic
Wyzyskiwany przez ludzi niesławnych,
Na straszne cele... Więc drogiej Ojczyźnie
Szczęście przywrócić, naszem teraz hasłem!
Toż śpiesznie, śpiesznie! nim wąż znów się wśliźnie,
Z sercem z miłości kraju nie wygasłem
I w zgrozie owej, weźmy przed się nasze
Narady, jako ich zwykły porządek...

(*Do Łętowskiego*).

Panie Marszałku! ulituj się Wasze
Ojczystej sprawy! Przez miłość dzieciątek
Własnych, ulituj — a jak zwyczaj każe,
Odpraw zwykłego sejmu zagajenie!

GŁOSY (*Korsaka i Dunina*).

Tak, tak! Prosimy!

REJTAN.

Czyn ten całkiem zmaże
Owo Waszmości z zdrajcy połączenie.
A zważ też przecie i na włos swój siwy,
I na swój żywot niczem nie splamiony...

GŁOSY (*pierwsze*).

Prosimy bardzo!

REJTAN.

Starcze nieszczęśliwy!
Pomnij, że możesz mieć grób ocalony
Tym jednym krokiem; a biada popiołom
Twoim, gdy na ten głos zostaniesz głuchy!

ŁĘTOWSKI (*po długiem pasowaniu się*).

Nie mogę —

REJTAN (*klęka przed nim*).

Zchodzę oto ku padołom...
A może zmiękniesz tym wyrazem skruchy: —
Patrz! otom u nóg twoich i rękoma
Objąłem twoje ubogie kolana...
Pomyśl: u nóg twych Ojczyzna widoma,
Łzami okropnej boleści oblana!
Mtej litość, jeśliś w miłości tak twardy...

DUNIN.

Panie Marszałku! a miej też okruchę
Serca!

ŁĘTOWSKI (*zakłopotany*).

Jakkolwiek...

REJTAN (*porywa się z kolan*).

Tyś godzien pogardy
Jak tamci! — Oko moje zrobię suche,
Bo wstyd mi tej łzy, wylanej przed tobą!...

DUNIN.

A, zgroza! gdzież to Waszmość przefrymarczył
Cnotę, że wahasz się? — Swoją osobą
Ty byś na szczęście Ojczyzny wystarczył.

ŁĘTOWSKI.

Ależ... to będzie z konsekwencją sprzeczne,
Zagajać drugi raz...

REJTAN.

Więc tak leniwa
Cnota?!

ŁĘTOWSKI.

Bóg świadkiem!...

DUNIN.

Więc Waść ostatecznie
Nie chcesz zagaić?

(*Łętowski milczy*).

KORSAK.

Niech się Waść odzywa
Nakoniec!

GŁOSY.

Mówże! czy zagaisz przecie?

REJTAN.

Nie skrob się w głowę! mów!

ŁĘTOWSKI (*po długiej chwili*).

Przepraszam bardzo,
Nie mogę...

(*Wstaje i odchodzi*).

GŁOSY.

Zdrajca!

REJTAN.

Nie! to głupie dziecię,
Którem wnet sami ci zdrajcy pogardzą...
Zdziecinniały stary!

KORSAK (*do Rejtana*).

Co począć na razie?...

(*Wchodzi Lubomirski*).

Scena IV.

DAWNI, LUBOMIRSKI.

LUBOMIRSKI (*występuje na podwyższenie*).

W imieniu pana Marszałka donoszę,
Że po nikczemnej zaszłej tu obrazie,
Solwuje sesję do jutra. — Więc proszę
Waszmościów, za mną opuścić tę salę...

(*Zstępuje*).

(*Większa część Posłów zabiera się do wychodu*).

REJTAN (*zastępuje drogę Lubomirskiemu*).

Przepraszam! — Zkąd się pan w prawie uczuwasz
Sesję odkładać? — To bardzo zuchwale!
Jeśliś rozsądny człowiek, sam to uważ...

LUBOMIRSKI.

Spełniam zlecenie

REJTAN.

Tem ci gorzej, bowiem
Gwałt to zarówno tamtego, jak Waści!

LUBOMIRSKI.

Waćpanu więcej słowa nie odpowiem,
Ile, że lękam się bardzo napaści,
Jakiej sam świadkiem byłem tu niedawno.

(*Chce się dostać do drzwi. —Rejtan zastępuje*).

REJTAN.

Stój!

LUBOMIRSKI.

Czemu Waszmość wstrzymujesz mię w drodze!

(*Wszczyna się okropne zamięszanie: — Korsak, Dunin... usiłują odwieść Posłów od zamiaru opuszczenia sali. — Rejtan przed Lubomirskim. — Żywy udział kobiet w lożach i gwary publiczności za drzwiami, uzupełniają scenę*).

KORSAK.

Stójcie, na Boga!

REJTAN (*powstrzymując Lubomirskiego*).

Zgubę widzę jawną!

LUBOMIRSKI (*do Rejtana*).

Puść!

REJTAN.

Nie! chcę dotrwać tutaj na załodze!

LUBOMIRSKI (*do swoich*).

Proszę Waszmościów za mną, kto roztropny!
Dość już obrazy Boga i człowieka!

(*Ciśnie się ku drzwiom — za nim tłum*).

REJTAN (*we drzwiach*).

Stójcie! — Kto teraz do wyjścia pochopny,
Niech mi da poczuć butów swoich ćwieka;
Głęboko — w sercu — tu!...

(*Rozrywa odzież na piersi i kładzie się w progu*).

Po moim trupie!
Ja się tak w progu tu rozkrzyżowawszy,
Może i waszą cześć biedną okupię,
I cios Ojczyzny powstrzymam najkrwawszy!

LUBOMIRSKI.

Furda! czy Waszmość chcesz grać rolę zbawcy
Ojczyzny? — Cha, cha! idź do czubków raczej! —

(*Przestępuje leżącego w progu — za nim tłum cały wychodzi*).

GŁOSY (*za sceną i w lożach*).

Zgroza!!

(*Kobiety przerażone opuszczają loże. — Okrzyki publiczności za sceną*).

Scena V.

REJTAN, KORSAK, DUNIN, kilkunastu posłów — później GACYK.

REJTAN (*dźwiga się*).

Przepadło!! —

DUNIN.

Ha, wściekli oprawcy!
Poszli wypełnić powinność siepaczy!

REJTAN.

Stało się... Boże! więc — więc... nadaremnie!!

KORSAK.

Przez Boga, zdrada ta o pomstę woła
Niebios!

DUNIN.

Tfy, podle! przebrzydle! nikczemnie!

REJTAN.

Promyka nie masz nadziei... Anioła
Łez trza by teraz, aby te rospacze
Nasze ukoić! —

GŁOSY.

Zlituj...

REJTAN (*dziko*).

Precz dziecinne płacze!
Cichemi sercu rozpłynąć się łzami
Dziś nie wypada, ani tak spokojnie...
Jak wulkan raczej niech pędzi ukropy
Przekleństw gorących! Wszakżeśmy na wojnie,
A u nóg naszych jako blade snopy
Leżą pobite dusze... Ej, Zamojskich
Bułata godne dzieło moje, godne!
Braknie serc tylko i poklasków swojskich...
Tfy, tfy! wyrodne serca! o wyrodne! —
Odarto z sukień i na krzyż rozbito...

(*Zrywa się*).

Ha! to już wytrwać trza — i całą wieczność —
Choćby mi w oczy tysiącem dział bito! —

(*Do tamtych*).

Może panowie zrobicie społeczność
Mojej mogile? — Proszę...

KORSAK, DUNIN.

Z Waścią wiecznie!

REJTAN.

To protestacją będzie najdotkliwszą
Nielegalności konfederackiego
Sejmu... A zmianę tę najnieszczęśliwszą
Niechaj niebiescy anieli już strzegą:
Człek nie wydołał!! —

GACYK (*wchodząc*).

Sługa Waściów — czołem

REJTAN.

Waszmość tu?... Jeszcze nie mogę dać wiary...

GACYK.

To i nie dziwno...

REJTAN.

Waść byś był aniołem
Dzisiaj, z wczorajszej tak nagle poczwary
Przeistoczony?

GACYK.

Czyny mówią!... Ale
Inna rzecz teraz ważna i pośpieszna...
Waszmość się tutaj zaciąłeś w zapale
— Kocham cię za to!... Lecz rzecz nie pocieszna,
Bo djabeł strasznie pracuje dla zguby
Waściów... Sąd nawet zebrał się doraźny,
Który chce pobrać Waszmościów za czuby!

REJTAN.

Wyjdziem ztąd chyba na roskaz wyraźny
Boga!

GACYK.

Ej, na to trza by czekać długo,
Zda mi się... — Coż Waść myślisz? czy od rzeczy
Będzie, gdy króla, tę instancję drugą
Po Bogu, ujmiem sobie?

REJTAN.

On zniweczy,
Zamiast naprawić...

GACYK.

Biorę go na siebie!

REJTAN (*po chwili namysłu*).

Więc dziej się wola Twoja, niebios Panie!
Na ziemską pomoc liczę w tej potrzebie:
Ale Ty widzisz, jak mi już to łkanie
Zamgliło drogę nadziei...

(*Po chwili do Gacyka*).

Więc zgoda! —
Śpiesz Waść do króla — proś, niech nam dłoń poda!

Koniec aktu trzeciego.

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA

nie z „Tysiąca i jednej nocy".

(Ciąg dalszy).

Już przednie straże obu wojsk nieprzyjaznych starły się w krwawej utarczce; już Trat i jego gnomy przekroczyli granicę państwa króla wulkanów — a Ognita spał jeszcze w swym podziemnym pałacu, wygrzewając się na spodzie krateru. Przyszło do walnej bitwy, w której Cień cudów waleczności dokazywał; szczęście sprzyjało orężowi gnomów, i wróg usłał trupami pole bitwy, cofając się wewnątrz państwa — a Ognita zaledwie jedną otworzył powiekę. Druga bitwa, nie mniej jak pierwsza krwawa, zmusiła króla wulkanów do otworzenia drugiej powieki. Spojrzał i — ziewnął; a od tego ziewnięcia wody mórz wstecz się cofnęły, rzeki wystąpiły z brzegów i wszystko w naturze zadrżało.

Zadrżał i Trat, bo wiedział z jaką ma mierzyć się potęgą, i zwołał swe wierne rycerze na naradę wojenną. Gwarnie rozprawiano w obozie, przekładano plany; ale osiwiali w bojach wodzowie gnomów radzili królowi: co rychlej cofać się ku granicom, zaniechawszy kampanji, która nie mogła skończyć się pomyślnie dla nieprzyjaciół Ognity. Przed myślą cofnięcia się wzdrygnął się rycerski animusz Trata; ale Cień gorąco zaprotestował przeciw radzie, którą nazywał tchórzowską, i wręcz oświadczył, że sam jeden nawet pozostanie w kraju nieprzyjaciela, jeśli gnomy zaniechają wojny!

— Bowiem godności rycerskiej ubliża — mówił — cofnięcie się w chwili, gdy już tyle krwi przelano!

Energiczne wystąpienie Cienia utwierdziło Trata w zamiarze prowadzenia wojny, a za przewodem króla i wojsko oświadczyło gotowość: raczej zginąć, aniżeli cofnąć się przed niebezpieczeństwem. Acz z wewnętrzną trwogą, posuwano się jednak w głąb' państwa Ognity, zabierając pod moc swą miasta i kraje.

Ziewnął Ognita raz drugi, i przeciągnął członki na miękkich puchach z płomieni, z lubością zanurzył nogi w kipiącej lawie, i z uśmiechem — rzekł do jednego z swych dworzan:

— Siarczyku! czy mi się zdaje, czy też naprawdę któryś z owadów dotyka mego ciała? Obacz tu, na plecach.

Siarczyk spojrzał na plecy królewskie — i rzekł odniechcenia:

— Jest niewielki. Czy każesz go zadławić królu?

— Zostaw go w spokoju — rzecze król łaskawie. — A który to z psotników?

— Jeżeli się nie mylę — odpowiedział Siarczyk — to ów Trat, mizerny władzca gnomów.

— Trat?... Miałże by go olbrzym-góra z mocy swej wypuścić?...

— Przed chwilą właśnie dano mi znać, że olbrzym góra został zwalczony przez nieznanego rycerza, któren Trata uwolnił. Nie chciałem tą drobną wieścią przerywać snu najmiłościwszemu panu.

— Hm! — Nieznany rycerz — mruknął Ognita — Któżby to mógł być taki?... Czy stawiono opór gnomom?

— Potrzykroć; lecz nie pomyślnie. Żałowałem przerywać spoczynku Waszej królewskiej mości...

— Niepomyślnie... A cóż się dzieje z Hurgrotem?

— Zwyciężony potrzykroć zamknął się w zamku kamiennym. Nie chciałem...

— Snu mi przerywać? — dokończył Ognita. — Wierny sługo! za to możesz pójść tam, gdzie byś być nie chciał! — Trat zwyciężył Hurgrota potrzykroć... Trat go nie mógł zwyciężyć!... Kto jest mu z pomocą?

— Ów rycerz królu, ten sam, który zwyciężył olbrzyma-górę.

— Ten sam? Skoro zwyciężył Hurgrota potrzykroć nie musi być pospolitym... Konia mi Skromiota! Muszę go ujrzeć na me oczy.

Za chwilę koń był gotów. Ognita dosiadł rumaka — Ziemia zadrżała. Skromiot dał skok — pękła góra najwyższa; dał drugi skok — wypadło sto piorunów; dał skok trzeci — ognisty deszcz zalał ziemię, i Ognita ukazał się na powierzchni.

— Rycerzu! — mówił Trat cały drżący do Cienia. — Zbliża się stanowcza godzina. — Ognita stanie przeciw nam; a gdy jego ujrzymy w szeregach — na zawsze pożegnamy ogniska domowe!

Nie przeląkł się Cień tej groźby straszliwej.

— Zmierzymy się z nim — rzekł dumnie. — Nie dla wszystkich jest postrachem Ognita!

Na koniu, skrami prychającym stanął król wulkanów, i groźnie spojrzał na wojsko Trata. — Nie było najodważniejszego, któren by nie zadrżał!—Zawołał wielkim głosem— połowa wojska upadła na ziemię! Błysnął mieczem trzymilowym — druga połowa krwią się zlała.

Trat jęknął przejęty boleścią nad ogromem swej straty a Ognita zaśmiał się dziko: ;

— Ha ha! przemożny króliku! Tobie-ż to ze mną iść o lepsze?... Nie zasługujesz bym stanął do walki — ty i twoi!

Krew zawrzała w piersi Trata; a Cień jak strzała puścił się ku Ognicie, i w twarz mu cisnął rękawicę. Rękawica wpadła w oko króla wulkanów, i o gniew go przyprawiła.

— Łotrze! — krzyknął, wydobywając rękawicę z oka — drogo mi zapłacisz twą śmiałość! — i oburącz porwał swój miecz trzymilowy.

W stanowczej chwili, w przedgodzinie wielkiego niebezpieczeństwa, przypomniał sobie Cień słowa starej wróżbity i jej podarunek. Pochwycił go z piersi, i wniósłszy w górę zawołał głosem wielkim:

— Pomocy!

O cudo! Cień zniknął, a na jego miejscu zjawia się rycerz tak straszliwy, że ziemia pod nim zadrzała.

Trat upadł twarzą na ziemię, z nim wojsko jego legło, a Cień, odnowiony mocą podarunku wróżbity, postąpił ku Ognicie.

Skromiot nie zniósł walki z groźnym rycerzem; wierzgnął ogromnie, i z siodła wysadził Ognitę, a na mil dziesięć w około widziano iskry, które miotał, uciekając ku ognistym górom.

Porwał się Ognita na równe nogi — a przed nim stoi straszliwy rycerz. Spojrzeli na siebie... ręce położyli na mieczach... padły cięcia — oba miecze odleciały pęknięte!

— *Kramkaratu!* — krzyknął Ognita nie posiadając się ze złości. — Będziesz mi gryzł ziemię za zniszczenie miecza! Dalej — na siłę!

Chwycili się za bary, i mocują się aż ziemia stęka! Ścisnął Cienia Ognita — kości zatrzeszczały... Ścisnął Cień Ognitę — oczy mu na wierzch wylazły. Zgrzytnął straszliwie Ognita, porwał przeciwnika z gwałtowną siłą, i po pas wbił go w ziemię. Cień skoczył, oburącz chwyta przeciwnika... i ciska nim w górę na trzy łokcie... Król wulkanów poprawił się i wbił Cienia na sto łokci w ziemię... A Cień w odwet rzuca go w górę po nad najwyższe szczyty! — Potłukł się bardzo Ognita upadłszy na ziemię... Jednak nie prosi pardonu, ale proponuje zapaśnikowi odpoczynek chwilowy. — Cień się zgadza. — Król wulkanów korzysta z chwili, dopada beczkę wody s i ł y, i całą ją wypija. Cień tymczasem wyprostował swe członki, i czeka na przeciwnika.

Wzmocniony na sile Ognita jak nie porwie Cienia, jak nim nie zawinie w powietrzu! i wbił go do środka ziemi; a korzystając z chwili porwał skałę będącą w pobliżu, i przykrył nią otwór zostający nad Cieniem.

Pewny zwycięztwa legł Ognita na polu, i kazawszy sobie podać gorejących węgli pożarł ich cztery miary.

Zdawało się, że zwycięztwo jest niewątpliwe i Cień zginie w ziemi wnętrzu... A jednak moc podarunku wróżbity była tak wielką, że nie tylko iż wydostał się z ziemi, ale znienacka podszedłszy Ognitę, porwał go w silne ręce, i jak piłką cisnął w górę, aż się król wulkanów oparł na jednej z gwiazd, rozbity na cztery części, a każda z nich cierpiał niewymownie.

Wysilenie było nadzwyczajne; Cień zachwiał się i upadł zemdlony.

Otworzywszy powieki znalazł się zwycięzca Ognity w ramionach Trata, któren oblewał go łzami rozczulenia.

— Szlachetny mój wybawco! — mówił król rozrzewniony — o najdroższy z ukochanych! Po raz wtóry otrzymuję życie z twej ręki... I więcej niż życie, bo chwałę z twojego zwycięztwa, szczęście moich ludów i moje — Teraz dójdziemy do źródła wody ożywiającej, uwolnimy Wodnicę z więzów sromotnych!...

— Gdzie jestem? co się ze mną dzieje? — zapytał Cień słabym głosem.

— W moich objęciach, pośród tych, którzy, patrz! leją łzy wdzięczności za łaskę nam wyświadczoną. Przyjacielu mój! o jakże jestem szczęśliwy... Lecz napij się wody siły — to cię pokrzepi.

Cień przechylił podaną konew, i spełnił ją do dna; a przyszedłszy do siebie powstał i wyprostował swe członki.

— Ach! — westchnął z pełnej piersi, wzrokiem rzuciwszy dokoła. — Cud dokonany... Dzięki ci wróżbito!

Nastąpiło wynurzenie wdzięczności... Głośne okrzyki, łzy rozrzewnienia świadczyły o uczuciach gnomów, którzy nie posiadali się z radości po zwycięztwie straszliwego Ognity.

Ale bo też i zwycięztwo było płodne w nielada korzyści! Na wieść o skonie króla, wojsko i lud, w niewolniczem poddaństwie, ugięło kolana przed Tratem, oddając się na łaskę zwycięzcy.

Bogate prowincje, skarby, zapasy wojenne i niezliczone hufy żołnierzy dostały się gnomom, i pochód zwycięzców w głąb' krajów Ognity był jednym nieustającym tryumfem.

W stolicy króla wulkanów czekały szczęśliwych zwycięzców rzeczy, o których nie śnili w swem życiu!

Nie ma słów na opisanie piękności, dziwów, cudów nawet, które przepełniały stolicę i pałac Ognitę. A ów pałac!... Miejsce gdzie przebywał Cień było skromną lepianką w zestawieniu jej z siedzibą Ognity!... Dziwa i cuda jakie tam oglądał były fraszkami w porównaniu z temi, które spotykały się tu co krok nieledwie.

Ale nie czas było przypatrywać się dziwom, bo ważniejsze sprawy oczekiwały spełnienia: uwolnić Wodnicę i dotrzeć do źródła wody ożywiającej — to należało przedsięwziąć.

Rozległe było państwo Ognity; a chociaż niemal w całości uległo orężowi zwycięzców, znajdowały się jednak krainy, w których nie wiedziano o porażce wojsk, o losie jaki spotkał króla wulkanów; a w jednym z takich to krajów było — jak mówiono — źródło wody ożywiającej. Dotarcie więc do źródła było połączone z niemałemi trudnościami, o ile, że zwycięzkiego wojska starczyło zaledwie dla utrzymania w posłuszeństwie ludów podbitych; a o dalekim i forsownym pochodzie mowy być nie mogło.

Ufny w swe siły i w cudowną moc podarunku wróżbity, Cień oświadczył gotowość udania się w kraj nieznany, chociażby mu samemu wypadło dotrzeć do źródła wody ożywiającej; na to nie mógł się zgodzić Trat, i obaj przyjaciele postanowili razem odbywać niebezpieczną podróż. Jakoż niezwlekając chwili, puścili się w drogę.

Tuż za zamkiem Ognity była wielka puszcza; oprócz króla wulkanów nikt do niej nie wchodził z obawy różnych okropności, bo puszcza ta miała być siedliskiem złych duchów.

— Jeżeli się nie mylę — rzekł Cień — w tej puszczy musi być źródło wody ożywiającej.

— Mam nadzieję — dodał Trat — że i Wodnicę tam znajdziemy.

— Pójdźmy więc do puszczy!

— Pójdźmy!

Zaledwie się zbliżyli, patrzą: droga zaciągnięta pajęczyna — znak, że nikt nie wchodził do puszczy.

— Piękna brama! — rzekł Trat wesoło do Cienia, i zbliżył się, chcąc ręką rozerwać sieć pajęczą. Ledwie się dotknął, aż w jednej chwili cały został skrępowany pajęczyną, że się ruszyć nie mógł. Nie miał jeszcze czasu

krzyknąć, gdy wyskoczył ku niemu olbrzymi pająk, i rzucił się na ofiarę...

Byłoby źle z Tratem, bo pająk wcale nie na żart zabierał się do króla; ale w tej chwili Cień jednym cięciem pałasza przeciął pajęczynę, a drugim rozpłatał pierś pająka; zamierzył się raz trzeci chcąc uciąć głowę potworu, gdy ten przemówił ludzkim głosem:

— Rycerzu Cieniu! nie zabijaj mię — mogę ci stanąć w przygodzie.

— Nie zabije cię — rzekł Cień — ale mi powiedz: czy w tej puszczy jest źródło wody życia?

— Jest — odpowiedział pająk.

— A rusałka Wodnica także się tam znajduje?

— Tak jest. Lecz, byś doszedł do źródła i obaczył Wodnicę potrzeba ci mojej pomocy. Weź do flaszki krwi, która ciecze ze mnie, w przygodzie użyj jej kropli; a gdy powrócisz szczęśliwie — nie zapominaj o mnie. — Oh! okropnie cierpię.

Cień żałował pająka; ale nie mogąc mu nic poradzić, wziął jego krwi do flaszki, i poszli z Tratem.

Szli, szli długo, aż przyszli do miejsca gdzie drzewa tak mocno były zrośnięte, że uformowały jedną ścianę, której przebić nie było sposobu.

Ledwie się opatrzyli — druga taka ściana za nimi; dalej występuje trzecia i czwarta; zchodzą się z sobą... duszą Cienia i Trata, że ledwie mogą oddychać... Przypomniał sobie Cień krew pająka, prysnął jedną kroplę — ściany znikły — byli uratowani! Szli więc dalej w coraz dzikszą posuwając się puszczę. Znowu ich skały otoczyły dokoła, grożąc zaduszeniem... lecz jak drzewa, ustąpiły przed kroplą krwi pająka! Chciała ich później zalać woda, dzikie źwierzęta pożreć, złe duchy porwać do piekła — krew pająka ratowała obu od zguby!... aż pokazało się, że i krwi zabrakło, a do źródła nie doszli!

Posmutniał Trat, i Cień nie był zadowolonym z wędrówki... Noc zapadła.

Strudzeni, głodni usiedli oba u podnóża białej góry i rozmawiając o przygodach zasnęli.

A to nie była góra, ale jajo ptaka Kramadaty... I kiedy Cień i Trat spali w najlepsze, przyleciał ten ptak, a usiadłszy na jaju przykrył ich sobą, że ledwie się nie podusili.

Budzi się Trat, patrzy — ciemno, duszno, ruszyć się niepodobna... źle! Trącił Cienia.

— Wstawaj! nowa bieda!

Przetarł oczy Cień; patrzy — i także się przeląkł; powoli jednak przyszli do siebie, i okrakiem przełażąc pod dziwną massą, która ich okryła, przekonali się, że to był ptak Kramadata, o którym nie raz słyszeli.

Nie długo myśląc Cień, pasem rycerskim uwiązał się do nogi ptaka, a gdy i Trat zrobił to samo — Cień wyjął miecz, i po rękojeść wbił go w ciało ptaka.

Kramadata zerwał się mieczem ukłuty, i uniósł obu uwiązanych, w górę. Leciał z nimi, leciał nad lasy, góry, nad morza i pustynie — aż usiadł w pięknej dolinie, w pośród której był gaj roskoszny; w tym gaju cudownej piękności altana, nad którą z blasków tęczowych unosiły się dobre duchy, formując sobą napis: »Źródło wody żywej!«

— Stanęliśmy u celu! — zawołał Cień, odwiązując się od nogi ptaka.

— Przecież! — zawtórował mu Trat, czyniąc to samo, i oba stanęli na dolinie.

(C. d. n.)

Korespondencje.

Paryż — *15. września 1868.*

Rozpoczęliśmy z czytelnikiem przechadzkę po Paryżu, ale marcowe błoto nie dozwoliło nam długo broczyć po nowych gleistych ulicach. Później znowu były upały i kurz wielki, a tu tymczasem nadchodzi jesień i znowu będzie przeszkoda. Korzystajmy więc z chwili dzisiejszej; mamy pogodę piękną, słońce już nie tak bardzo doskwiera; pośpieszmy zwiedzić przynajmniej ogrody, bo już nawet teraz liście na drzewach zaczynają przybierać kolor żółty, kwiaty przekwitają, i odłożenie przechadzki stanęłoby na przeszkodzie zwiedzeniu w tym roku paryzkich ogrodów.

Piękneż to muszą być te ogrody paryzkie! W tej stolicy świata, gdzie miliony ludu dusząc się w ciasnych murach przez dzień cały, wieczorem, albo po tygodniowej pracy w niedzielę szukają świeżego powietrza i rozrywki. Gdzie wybrednego smaku panie i panicze zjeżdżają się z całego świata, aby oddychać tą atmosferą paryzką, musi być ta atmosfera bardzo przyjemną, bo inaczej ten wybredny smak pański nie byłby wart wiele.

Wszak prawda czytelniku, że te ogrody muszą być obszerne, piękne i różnorodne, muszą mieć wiele cienia i kwiatów, muszą być?... Ale gdy takie macie wyobrażenie i żądacie odemnie świetnego opisu, nie przyjemna moja rola, bo opis wyda się wam koniecznie nie dobrym, nie pięknym. W interesie moim tedy winienem z góry uprzedzić, że ogrody te, do których was poprowadzę, wcale nie są ani tak piękne, ani tak okazałe jak sobie wyobrażacie, i jeżeliście byli w Zofjówce, w Belwederze, lub niejednym innym ogrodzie w Polsce, to wam ogrody paryzkie wcale się nie podobają. Pójdziemy tam jednak, bo trzebaż i to widzieć, choćby dla tego, że tam biegną nasi panowie... a zresztą są i tam rzeczy godne widzenia.

Pójdźmy nasamprzód do *Jardines des plantes*, bo ten nam może najwięcej pokazać rzeczy takich, jakie niełatwo gdzieindziej napotkać. Jest to ogród botaniczny, i menażerja. Ogród botaniczny składa się z części naukowej, kwiatowej i owocowej; części te przerznięte długiemi aleami lipowemi lub kasztanowemi; trzy aleje stanowią prawie jedyne miejsce przechadzki na cały Paryż, a przynajmniej najprzyjemniejsze. Część naukowa, w oznaczonych godzinach otwartą jest dla publiczności, która śledzi za nauką; część kwiatowa ubrana w gazony najpiękniejsze i starannie uprawiana i pielęgnowana jak i część owocowa są zamknięte, i tylko zdala można się im przyglądać. Zanadto wiele porządku w części kwiatowej, chcemy mówić: jest zanadto monotonną.

Ale ciekawy podróżny nie tyle do ogrodu botanicznego zechce zajrzeć, co raczej do menażerji. Bogaty zbiór źwierząt z różnych części świata, poczynając od Hipopotama egipskiego najobrzydliwszego i najstraszniejszego ze źwierząt, aż do pięknych pawiów i złotych bażantów chińskich, aż do wróbla naszego... nic tu prawie nie brak! Litewski żubr stoi w sąsiedztwie żubra amerykańskiego i wygląda jak piękny buhaj obok kozła. Słonie i lwy

różnych gatunków, kolekcja orłów i krokodylów, a już kóz i rogacizny olbrzymia liczba gatunków!... Nie są te źwierzęta tam tak pomięszane jak w mojej korespondencji, boby się pożarły wzajemnie, czego znowu ja się nie obawiam, i mięszam gatunki jak mi dogodniej.

Rzeczywiście jest wiele do widzenia w tym ogrodzie: papugi, kury w przeróżnych gatunkach, małe, mniejsze, duże, większe i jeszcze większe i bardzo wielkie; a każde źwierzę, ptaszę, lub gad ma dla siebie odpowiedni do jego natury budynek, ruczaj, sadzawkę, drzewo itd. publiczność jednak najwięcej lubi się przyglądać małpom, które w jednej klatce zbudowanej w kilkopiątrowym domie mieszkają, swawolą, biją się i... różne rzeczy dokazują, a publiczność okazuje się łakomą na tego rodzaju widoki.

Sypana góra, a raczej ze starego śmietnika przerobiona i wysadzona najrozmaitszego gatunku drzewami panuje nad całym ogrodem i daje z wierzchołka widok piękny na cały Paryż.

W ogrodzie są gabinety: botaniczny, mineralogiczny, i zoologiczny, i tu ten ostatni najwięcej zwabia publiczność, która lubi przypatrywać się olbrzymim szczątkom Mamuta i kościotrupom wielorybów; są tam szkielety wielu innych przedpotopowych źwierząt.

Tak więc widzisz czytelniku, że ogród ten zawiera wiele rzeczy i ominąć go w Paryżu nie można; ma on trochę cienia, przyjemny widok kwiatów i wiele rzeczy do studjów; tam też odbywają się kursa nauk przyrodniczych, a K a t r f a ż wykłada autropologję; zapomnieliśmy powiedzieć, że jest tam i gabinet antropologiczny, jak też i nie opowiedziałem wiele innych rzeczy... Może to kiedyś dopełnię, albo kto inny mię wyręczy.

My tymczasem, łaskawy czytelniku, siadajmy na omnibus, który nas zawiezie do innego ogrodu *Parc Monceau.* Tu jakkolwiek spotykamy piękną murawę, cień doskonały, ruczaje, stawy, groty i wodospady, wszystko to na małą skalę, nie zabawimy jednak długo, bo dosyć jest chwili czasu, ażeby to wszystko obejrzeć, a drugiej aby wypocząć trochę. Wypocząć musimy koniecznie, gdyż jest to jedyny w Paryżu ogród, który do tego nastręcza sposobność i zachęca. *Parc Monceau* jedyny ogród w Paryżu, który ma podobieństwo do naszych ogrodów, bo ma drzewa, trawę, kwiaty i inne niezbędności ogrodowe. Nie widzieliśmy naprzykład trawy w *Jardines des plantes*, nie zobaczymy jej i w innych ogrodach, albo jeżeli gdzie i jest, to jakby stepowa łąka bez żadnych drzew.

Z Parc Monceau zawiezie nas omnibus prosto do ogrodu Luksemburgskiego, ale nie zawadzi po drodze wstąpić do ogrodu T i u l e r y j s k i e g o, choćby dla tego tylko, ażeby się przekonać, że i ogrody cesarskie mogą nie mieć nic pięknego w sobie. Sąd może za ostry... ogród tiuleryjski jest pięknym patrząc nań z zewnątrz, wygląda jak gęsty las; wszedłszy do środka pod te duże kasztany, któremi jest zasadzony, jesteśmy również jakby w lesie, słońca nie widać za cieniem, chłódek przyjemny usposabia do spoczynku, chcemy usiąść... piasek, Sahara. Cały ogród wysypany piaskiem rozczarowuje nas i śpieszymy go opuścić, chyba że muzyka wojskowa grająca wieczorami zatrzyma nas; ale muzykę i bez ogrodu znaleść możemy, a słuchać jej nie mając gdzie usiąść, niewygodnie. Przed samym jednak pałacem spotykamy klomby kwiatów, pomiędzy któremi stoją posągi.

Jużby też wypadało zaglądnąć i na p o l a e l i z e j s k i e, które tylko plac karuzelem przedziela, a plac sam godzien widzenia. Po środku stoi piramida, czy kolumna sprowadzone z Egiptu, na podwyższeniu zrobionem w miejscu odłamanej części kolumny. Z czterech stron prześliczne wodotryski a na około placu przepyszne posągi przedstawiające herby, czy też godła, symbole miast większych Francji. Ale widzieć ten plac radzę wam dnia 15. sierpnia w święto Napoleońskie, kiedy się on przystroi w świąteczne szaty i kiedy go lud napełni, że szpilki byście nie potrafili wetknąć.

Pola elizejskie owe sławne, gdzie się popisują pięknemi pojazdami, końmi, lub frakami polscy i niepolscy hrabiowie, ciągną się długo aż do b r a m y t r y u m f a l n e j, która je zakańcza. Tam spotkacie najpyszniejsze domy, po stronach obu za ogrodami; albowiem równolegle z aleją popisową hrabiów ciągną się po obu jej bokach ogrody, młode jeszcze ale bardzo ożywione szczególniej wieczorami. Tam *Palais d'industrie*, co to ma szklanny dach, w którem corocznie mieści się wystawa obrazów, a często-gęsto i produktów rozmaitych.

Zostawmy jednak pola elizejskie, a wróćmy do ogrodów i ruszajmy prosto do L u k s e m b u r g s k i e g o, tylko ostrożnie bo omnibus idzie po ulicy *Seine* i *Tournon;* ostrożnie powiadam, aby Królikowski, lub Mickiewicz nie zwabili was do swoich księgarń, bo jużci choćby przez delikatność wypadałoby kupić jaką nową książkę, a cożbyście zrobili, gdyby jak raz wpadła wam w ręce Mierosławskiego historja powstania 30. i 31. roku której tom 4. właśnie świeżo z druku wyszedł, albo jakiś tam „Głos Wolny“ czy „Niepodległość“ — cobyście z tym fantem zrobili? — Dlatego to jako przewidujący przewodnik ostrzegam was nie wysiadajcie z omnibusa, aż przy samym O d e o n i e i zaraz ruszajcie do ogrodu.

Jeżeli przypadkiem byłeś czytelniku w tym ogrodzie dawniej, to dziś go nie poznasz, tak zmienił się bardzo. Owa piękna p e p i n j e r k a tak dokładnie przypominająca nasze ogrody, gdzie spotkasz kwiaty i owoce, pszczoły, aleje kręte i altany z bzów i akacji, gdzie masz dowoli cienia, w którym możesz usiąść z książką — owa jedyna w swoim rodzaju na cały Paryż, gdzie i ty może używałeś swobodnych chwil i cieszyłeś się, że ci kraj przypomina, że możesz całemi piersiami zasięgnąć świeżego powietrza, gdzie widziałeś innych z książkami i dziennikami — owa pepinjerka już nie istnieje, a na jej miejscu zrobił Hausmann dużą łąkę. Inna część ogrodu przypominającą Saharę albo gust chiński, czy może lepiej znajomy już nam ogród tiuleryjski pozostała nie tkniętą. Przed pałacem luksemburgskim, jak dawniej, stoją wielkie wazony z cytrynami, istnieje sadzawka i popiersia królowych, tylko brzegi trochę urozmaicono wyrąbawszy wielkie drzewa a zasadziwszy na ich miejsce kaktusy i tym podobne. Z drugiego jednak końca od O b s e r w a t o r j u m porobiono małe ogródki, wyrzucone z całości.

Abyście mnie jednak nie posądzili o stronność dodam, że także rozumiem pożytek takich ogrodów, gdzie jest dużo przestrzeni i gdzie bez przeszkód dzieci mogą grać w piłkę i biegać; nie rozumiem jednak: coby tu mogła przeszkadzać trawa, i sądzę że na trawie lepiejby było, stosowniej bawić się dzieciom, niż na piasku!...

Ale opuśćmy ten ogród, bo jeszcze musimy zwiedzić *Butte-Chaumont*, o którym cały świat paryzki mówi; i który ściąga tyle gapiów! Musimy, choćby i nas miał spotkać ten zarzut, być tam aby już wszystko widzieć; a musimy pośpieszyć przed zachodem słońca, bo po zachodzie już wszystkie ogrody są zamk-

nięte, i tylko straż pilnująca ażeby kto nie wszedł i starego kasztana nie wyniósł, przechadza się po środku.

Nie wiem tylko którędy pójdziemy, bo żaden omnibus wprost nie prowadzi. Pojechalibyśmy omnibusem Montrouge, widziałbyś czytelniku Panteon, Fontanę St. Michel godną widzenia, Trybunał kupiecki nowy wspaniały gmach i naprzeciw stojący stary Pałac Sprawiedliwości, na którym byś z przyjemnością ujrzał herb Polski, orła z pogonią, z okazji panowania u nas kiedyś Walezjusza (Henryka), i zobaczyłbyś w tym pałacu wspaniałe wschody, z których został spędzony car Aleksander w 1867 roku przez adwokatów francuzkich... A dalej za drugim mostem dwa naprzeciw siebie stojące nowe teatra *Chatelet* i *Opera lirique* i jechałbyś po najpiękniejszym bulwarze sewastopolskim, mimo teatru *Gaité* aż do skrzyżowania się bulwarów sewastopolskiego z włoskiemi (najbogatszemi) i dalej po tym samym bulwarze, który wszelako nazywa się już strasburskim, i widziałbyś bulwar Magenta i ulicę Lafayete, której nie dostrzegłbyś ani jednego ani drugiego końca, choćbyś siedział na wierzchu omnibusa.

Aż nareszcie obejrzałbyś dwa piękne dworcy dwóch kolei strasburskiej i północnej. Ale... jakże cię powiozą dalej, kiedy żaden omnibus nie dochodzi do Butte-Chaumont, gdyż ogród ten nowy, i kompanja omnibusów nie wiedząc, że ja korespondent „Nowin" i ty łaskawy mój czytelnikn mamy potrzebę tam pojechać, nie urządziła omnibusów na tej drodze. Rad nie rad, zniewolony jestem wziąść dorożkę i wieść cię po najszkaradniejszej drodze, wązkiemi i brudnemi ulicami, gdzie oprócz nieba nic więcej widzieć nie możesz, i tylko raz wychylisz się z pomiędzy ścieśnionych murów, a to tam gdzie się zbiega sześć bulwarów i stoi nowy gmach *Magasin reunie*, niestety już zbankrutowany!...

Powiadam niestety! gdyż miał on dobre chęci: dawał ci za gotowe pieniądze wszelki towar po cenach niższych jak gdzieindziej i zobowiązywał się po pięćdziesięciu latach wrócić twoje pieniądze. To mi przypomina mego nauczyciela Hofremona, który postanowił oduczyć swego konia jeść; zmniejszał mu stopniowo codzień porcję jego pokarmu, (wody jednak dawał do woli) aż nareście przyzwyczaił już, że koń przez trzy dni nic nie jadł, i nie jadłby już wcale, lecz... przestał żyć. Z drugim i trzecim był ten sam wypadek, tymczasem i sam profesor oddał Bogu ducha, ale nie z tego powodu co koń, albowiem względem siebie profesor trzymał się innej wręcz przeciwnej teorji: jadł dużo i smacznie. Coż, kiedy umarł!... a szkoda że umarł, bo jak powiadał: nabrał już był wiele doświadczenia w swej sztuce, i zaręczał, że czwarty koń będzie żyć nic nie jedząc.

Ale wracajmy do ogrodu. Butte-Chaumont nie od dziś znany. Słyszałem że tu był ogród za czasów Klotara, Pepina Małego i Karola Wielkiego. Potem zaniedbany, potem użyty na śmiecisko Paryża; aż dopiero pan Hausmann postanowił go zrestaurować, wydał miliony i ogród gotów. Ażeby wam dać o nim wyobrażenie, powiem nie swemi słowami: że przypomina Szwajcarję... Mówił mi o tem p. X., który chociaż w Szwajcarji nie był, ale sądzi, że ona musi być podobną do Butte-Chaumont.

Są w tym ogrodzie skały, góry, doliny, jeziora, strumyki, mosty, wodospady, kolej żelazna i stacja — słowem ogród jest przecudny! Brak tylko dzisiaj cienia, ale gdy wyrosną świeżo pozasadzane drzewa, — gdyż ogród jest nowy i jeszcze nie wykończony, — to Paryż będzie mógł poszczycić się, że ma przecież choć jeden ogród porządny.

Teraz czytelniku możesz odpocząć, bo już cię nigdzie nie poprowadzę; małe ogródki nie zasługują na to, abym ci je pokazywał, większych więcej nie ma, chyba okoliczne lasy jak Wenseński i Bulоński z ogrodem *Aclimatation*. Ogród Aclimatation jest to na mniejszą skalę *Jardines des plantes;* przewyższa go pięknem *aquarium* rzecznem i morskiem, czego w *Jardines des plantes* nie ma; ale to już chyba innym razem, gdyż teraz pora nam obu na spoczynek. *A. D.*

Królowa Bona w Bari.

przez

Hlebickiego-Józefowicza.

Po powrocie z letniej wycieczki, dyrekcja kazała publiczności lwowskiej długo czekać na przedstawienie poważniejszego dramatu polskiego. Zmuszeni byliśmy widzieć dwa razy *Kartkę wyciętą* M. Dzikowskiego i tej podobne farsy, obok kilku lepszych dramatów z francuzkiego, zanim po miesiącu dano po raz pierwszy *Królowę Bonę w Bari* Hlebickiego-Józefowicza. Przedstawienie miało miejsce we środę dnia 23. września.

Treść sztuki jest następująca: Poselstwo polskie od króla Zygmunta Augusta przybywa do Baru (włoskiego) prosić Bonę o powrót do kraju. Poselstwo odprawia Krzysztof Tarnowski, doręcza królowej list Zygmunta Augusta — prześlicznie napisany — i popiera ze swej strony prośbę, łagodząc zarzuty przez Bonę czynione Polakom i w imieniu króla i stanów zapraszając królowę.

Bona, zawiedziona w swoich nadziejach pozyskania tytułu wicekrólowej Neapolu, którego się spodziewała od króla hiszpańskiego Filipa II. za co mu przedwcześnie zapłaciła — gdy przybyłe jednocześnie z polskiem poselstwo hiszpańskie, odprawiane przez Don Fernanda, w celu wydostania nowej sumy, nie tylko nie przywozi jej upragnionego tytułu, ale nawet nadziei pozyskania takowego nie daje, — oburzona tem do żywego i stęskniona za barbarzyńskim krajem polskim i za uległością syna, odgraża się Filipowi, drze jego list i postanawia swój powrót do Polski.

Don Fernand również się oburza na zuchwałość Bony drącej list jego pana i znieważającej go w słowach, a więcej jeszcze obawiając się, ażeby Bona również nie zabrała napowrót wywiezionych z Polski skarbów, wchodzi do spisku z margrabią Bony Papagodą i ulubienicą tejże Maryną, by otruć Bonę, co im się udaje, i Don Fernand zostaje wicekrólem Neapolu.

Na takiem tle historycznem osnuł autor romans następujący: W poselstwie polskim przybywa Stanisław Wolski (Szymański), który wprosił się do poselstwa w celu zobaczenia swej ulubionej Karloty (Bieńkowska), zastaje ją w orszaku panien dworskich Bony; powtarzają wyznanie miłości i zaprzysięgają sobie wzajemność do grobu. Zchodzi ich na schadzce ojciec Karloty, Papagoda (Linkowski) i czyni córce swojej wyrzuty, że ta wbrew woli jego wdaje się w miłostki z szlachcicem polskim, wówczas kiedy on chcąc jej szczęścia wybrał dla niej stosowniejszą partję i wyda za Granda hiszpańskiego Don Fernanda, a za to przez jego protekcję zostanie sam księciem Baru, a zostawszy księciem będzie najszczęśliwszym z ludzi, gdyż widzi, że do szczęścia tylko tytułu mu braknie.

Karlota przypomina, że on dawniej nie był przeciwnym jej miłości, powiada stanowczo, że ona Stanisława kocha i z

nim tylko szczęśliwą być może. Na to Papagoda nie mniej stanowczo oświadcza, że z tego nic nie będzie, i że on ją uszczęśliwi pomimo jej woli, a widywania się ze Stanisławem raz na zawsze zabrania; nakazuje zaś wystroić się jak może najpiękniej i być przy boku Bony, kiedy będzie dawać posłuchanie Don Fernandowi.

Don Fernandowi rzeczywiście podoba się Karlota i po skończonem posłuchaniu pyta o nią Papagodę. Obecny przy tem Stanisław nie pozwala Don Fernandowi wychwalać jego kochanki; przychodzi do zajścia i Wolski wyzywa go do rozprawy, ale Don Fernand zasłania się swojem pochodzeniem grandowskiem, które uważa za lepsze od szlachectwa polskiego; a wchodzi do spisku z Papagodą i prosi go, by nasłał zbójców na Stanisława.

Tymczasem Wolski nie mogąc przezwyciężyć oporu Papagody, udaje się pod protekcję Bony, wyznaje jej swoją miłość do Karloty i prosi o pomoc.

Bona zajmuje się tą sprawą, pyta Karlotę, a gdy ta również błaga o to samo, błogosławi ich i skłania Papagodę do udzielenia błogosławieństwa. Ale Papagoda błogosławiąc ma dobrze w pamięci, że Bona musi być otrutą a Stanisław zabitym; nic nie robi z tego błogosławieństwa, wiedząc, że jego działania zapobiegą połączeniu się kochanków. Wypełnia naprzód pierwszą umowę z Don Fernandem otrucie Bony; lecz w chwili kiedy się oddala po napój, Maryna (Rudkiewiczówna) trzecia wspólniczka zbrodni ostrzega Bonę, że miała jakieś sny złowrogie i obawia się aby napój nie był zatruty; prosi by królowa nie zważała na to, że Papagoda będzie kosztował, bo on może mieć antidotum, lecz raczej, ażeby dała napój do skosztowania Karlo cie. Czyni to w skutek rywalizacji z Karlotą, będąc sama zakochaną w Stanisławie: chce za jednym razem otruć Bonę i wziąść według umowy 100.000 skudów za to, i straciwszy Karlotę, starać się o Wolskiego. Bona przychyla się do żądania swej ulubienicy, daje napój Karlocie a następnie pije sama — nie pozwala Papagodzie wyprowadzić córki, słabnie i umiera.

Papagoda chce dać antidotum swej córce, ale Maryna wyrywa buteleczkę, tłucze, nie puszcza go biedz po doktora, aż córka na rękach ojca w okropnych boleściach kończy życie, a jednocześnie wnoszą zabitego Wolskiego.

Papagoda nawraca się i widzi w tem sprawiedliwy palec boży karzący zbrodnię. Don Fernando niezadowolony ze śmierci Karloty; ale pociesza się tem, że zostaje wicekrólem Neapolu i zabiera skarby Bony. Poseł zaś polski protestuje przeciw pogwałceniu praw narodu; lecz oświecony przez Don Fernanda, że Bona nie żyje i że on teraz tu panem, wyrzuca mu zabójstwo i otrucie i zdaje się na sąd Boga.

W dramacie jest pięknie przedstawiony niepokój sumienia Bony, którą prześladuje widmo zamordowanej Barbary i nie tylko jej spać nie daje, nie tylko wieczorami i w nocy, ale i w dzień biały na każdem miejscu ją nawiedza, do niej mówi. To też stara się być otoczoną swoim dworem, nie każe Marynie i Karlocie odstępywać od swojego boku. Nie wiele i to pomaga, bo nawet otoczona orszakiem dworu widzi Barbarę, a rozbudzona wyobraźnia czasem nie daje jej poznać swoich, a każe widzieć w nich Barbarę.

To też zakupuje msze i daje jałmużnę na kościoły, a nawet sprowadza mnicha, aby ją ratował i obiecuje złote góry Panu Bogu, byleby tylko ją uwolnił od tego widma. Ale mnich potrzebuje od niej skruchy i wyznania grzechów. Bona upokarza się i pada na kolana przed mnichem, lecz ten wymaga wyznania grzechów. Nie może Bona zrozumieć takiego upokorzenia, ażeby ona, królowa Bona, miała się poniżyć do wyznania grzechów przed prostym mnichem. Odprawia go, lecz widmo ją straszy, więc postanawia odbyć spowiedź, ale bez upokorzenia, przed samym papieżem, który jeden tylko tego godzien. Modli się nawet do Boga jak królowa, słowa jednak zamierają na jej ustach.

Charakter Bony jest znakomicie oddany z całą prawdą historyczną. Mówi ona zbierając się do modlitwy: „Oto ja królowa Bona chcę modlić się do Ciebie Boże;" tak jakby mówiła: „Widzisz Boże, że ja najpotężniejsza na świecie, robię Ci ten zaszczyt, że do Ciebie się modlę. Ty to rozumiesz."

W ogóle wszystkie postacie historyczne są dobrze oddane i duch czasu zcharakteryzowany jak należy.

Do zarzucenia dramatowi mamy: nie potrzebne morderstwo Karloty i Wolskiego. Bona zakończyła żywot, jak na to zasługiwała; ale za cóż niewinna Karlota zostala otrutą, dla nauki czy dla ukarania Papagody, a Wolski dla ukarania Maryny?... A nawet trochę nie naturalnem jest przypatrywanie się ojca śmierci córki i niezapobieżenie temu. Moralność nawet traci na tem, bo jakkolwiek Papagoda mocno uczuł stratę córki i nawrócił się, a Maryna musiała opłakiwać kochanka, to przecież kara ta raczej powinna była ich dosięgnąć, aniżeli niewinnych.

Gra artystów w ogóle była dobrą. Zdaje się nam jednak, iż niektóre role były niestosownie rozdane, i tak p. B a r a n o w s k i nie dobrze przedstawił szlachcica polskiego z XVI. wieku. Rola ta byłaby stosowniejszą dla pana Królikowskiego. Potrzeba tu obok wielkiej powagi, większej jeszcze dumy i większej pewności siebie. Polska w XVI. wieku była potężną, przedstawiciel Zygmunta Augusta poważniej powinien wyglądać, niż p. Baranowski w swojej roli. P. K r ó l i k o w s k i oddał Don Fernanda znakomicie, ale rola ta mogła być powierzoną komu innemu; dla nas była ważniejszą rola posła polskiego niż hiszpańskiego. Pan S z y m a ń s k i i pna B i e ń k o w s k a należycie wywiązali się ze swych ról, szczególniej musimy podnieść grę pny Bieńkowskiej w ostatnich chwilach; pojęła ją i oddała dobrze. Pni M i ł a s z e w s k a niezupełnie zrozumiała rolę, zanadto biegała i rzucała się. Bona, która 40 lat przebyła na tronie, kobieta z nadzwyczajną wrodzoną dumą, w podeszłym wieku musiała mieć więcej powagi, aniżeli Pni Miłaszewska w tej roli. Najnieszczęśliwiej jednak powiodło się pnie R u d k i e w i c z ó w n i e, a zwłaszcza w chwili, kiedy opisywała swoją miłość. P. L i n k o w s k i także niezupełnie zadowolił nas, i rospaczą swoją przy śmierci córki wywołał nie łzy, lecz...

Zrobimy tu uwagę, że artyści nasi lepiej grają tłumaczone sztuki od oryginalnych polskich; pochodzi to zapewne z wprawy jakiej nabierają grając ciągle tamte, a bardzo rzadko sztuki polskie.

Teatr jakkolwiek był pusty i na *Bonie*, to przecież parter i galerje były napełnione, czego przy gorszych sztukach nie bywa. *A. D. B.*

BIBLIOGRAFJA POLSKA
podawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Amerykanie. Sielanka dramatyczna w czterech obrazach, napisał * * 8wo (49 str.). Bydgoszcz 1868 . — zł. 30 ct.

Bolesławita, B. Bezimienna. Powieść z końca XVIII. wieku. 8wo (304 str.). Lwów 1869 . . . 3 „ — „

Droga krzyżowa w trzech sposobach do odprawienia podana. 16ka (88 str.), Warszawa 1868 . . — „ 52 „

Gątkowski, J. N. Rys dziejów księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego. 8wo (123 str.). Lwów 1867 . . 1 „ — „

Giorgi, ks. kan. K. Panegiryk na cześć św. Józefata arcybiskupa Płockiego miany dnia 14. lipca 1867 r. Przetłumaczył X. A. W. 8wo (44 str.). Kraków 1868 . . . . . . — „ 45 „

Haza, Wojciech z Radlic. List otwarty do „Dziennika Poznańskiego.“ 8wo (79 str.). Poznań 1868 . . — „ 48 „

Ocenienie „Szkoły“ pisma poświęconego sprawom szkół ludowych i średnich, tudzież seminarjów nauczycielskich. 16ka (31 str.). Kraków 1868 . . — „ 30 „

Perraud, A. Głos pogrzebny po Władysławie jenerale Zamojskim. Kazanie w kościele Oratorianów we czwartek d. 30. stycznia 1868. 16ka (60 str.). Paryż 1868 . . . . — „ 75 „

Pieśń o Polsce napisał J. Z. 8wo (142 str.). Lwów 1867 . 1 „ 20 „

Stöckhardt E. i A. Dzierżawca początkujący, jako zupełne według postępu rolnictwa opracowanie Dzierżawcy począkującego przez pana Schnee. Drugie pomnożone wydanie. 8wo (208 str. i dodatek) Toruń 1867 . . . . 3 „ 60 „

Szczeniowski, ks. E. Słowo o przyczynie upadku Polski i o środkach jej powstania. 8wo (60 str.). Wiedeń 1868 . . . . . . 1 „ — „

Szmidt, ks. kanonik. 90 powiastek dla dzieci. Spolszczył J. Chęciński z 28ma rycinami. Wydanie drugie. 8wo (252 str.). Warszawa 1868 . . . 2 „ 40 „

Trzy programy, broszurka. 8wo (15 str.). Lwów 1868 . — „ 10 „

Trzydniowe rekolekcje czyli przygotowanie się do przyjęcia godnie Sakramentu pokuty i Najś. Sakramentu dla młodych panien, zebrał X. M. G. 16ka (289 str.). Warszawa i Wilno 1868 . . — „ 91 „

Wianeczek modłów do Opatrzności boskiej z dodatkiem litanji i modlitew do św Rocha. 16ka (79 str.) Warszawa i Wilno 1868 . . . — „ 27 „

Wielogłowski, W. Podarek dla grzecznych dzieci. Ozdobione 24ma obrazkami kolorowanymi. Wydanie drugie 16ka (198 str.) Kraków 1868 . . . 1 „ 50 „

Rozmaitości.

* (Koncert.) Czy gitarę można zaliczyć do instrumentów koncertowych? — odpowiemy przecząco, chociażby nam wypadło rozminąć się ze zdaniem wielu artystów i nieartystów. Grać na gitarze można dobrze, lepiej i najlepiej... mimo to gra taka nie będzie artystyczną, lecz sztuczną tylko. W obronie tego zdania gotowiśmy stanąć do walki ze wszystkiemi, ilu ich było gitarzystami Jej królewskiej Mości królowej Hiszpanji — tak mocno jesteśmy przekonani o prawdzie naszego twierdzenia.

O koncercie więc p. Odrzywolskiego na gitarze (zupełnie popsutej) powiedzieć możemy to tylko, że grał z nie małą wprawą techniczną — wątpimy jednak czy kogo zachwycił...

Prawdziwą ozdobą wieczoru 5. b. m. był śpiew — nie chóru jednak, w którym, obok wielu niedostatków, raził nielitościwy tenor gardłowy — ale śpiew pni Majeranowskiej i p. Niedzielskiego.

O śpiewie pni M. koncertowym, czyliż mówić potrzeba?... Zachwycić on musi każdego, i nie dziwimy się wcale, że publiczność nie uspokoiła się wpierw, aż artystka ponownie odśpiewała zachwycającego mazurka Chopina... Ważniejszą o wiele jest rzeczą dla sprawozdawcy wrażenie odniesione ze śpiewu p. Niedzielskiego.

Piękny acz nie silny głos, szkoła, której nie wiele zarzucić można, deklamacja poprawna — dają w p. N. artystę, którym szczycić się może nie tylko miejscowa opera niemiecka. Naszem jednak zdaniem p. N. właściwiej by zrobił, gdyby pozostał przy śpiewie koncertowym, gdyż siła jego głosu nie jest wystarczającą dla wielkich rozmiarow sal teatrów.

Jeżeli dyrekcja naszego teatru w rzeczy samej chce nam dać operę narodową, dla czegoż nie zaangażuje p. N.? któren mniemamy chętnie porzuci scenę niemiecką, by znaleść się na scenie ojczystej, pośrod publiczności swojskiej — tak serdecznie witającej go na koncertach. Pan N. na żądanie powtórzył śpiewaną arję.

Pan Czerwiński odegrał na fortepianie „*Gwiazdę wieczorną*“ Liszta z opery Wagnera, i jeden z własnych utworów.

Podobne zestawienia zawsze są niekorzystne, i wystrzegać się ich należy... Co do gry samej, to przy lekkości, zbywa jej na sile wyrazu, na tej poprawności w wykonaniu, bez której musi wydać się bladą i nie wystarczającą.

Pan Guniewicz, odegrał na fisharmonice piękny utwor: *Tęsknota na morzu.*

* Pan Wł. Górski z Warszawy zamierza dać koncert. Grę artysty chwalono tak w kraju, jak i za granicą. W Galicji dał się już słyszeć w Szczawnicy, Krynicy i Krakowie.

* Pan Fr. Tepa zamierza urządzić we Lwowie wystawę nowych swych obrazów, pomiędzy którymi zwraca uwagę *Modlitwa żydów* — pomysł głębszy, połączony z wykonaniem prawdziwie artystycznem.

* Pisma moskiewskie donoszą, że znany Głowacki inaczej Hołowaćkyj, inaczej Gaławackij, wraz z rodziną przyjął prawosławje w Wilnie 7./19. września b. r. Niezadługo usłyszymy taką samą wieść o nych dijatelach galicyjskich!...

* Szkoła rysunkowa hrabiny Łubieńskiej. Z dniem 1. października w Warszawie w szkole rysunkowej dla kobiet pod przewodnictwem pani hrabiny Marji Łubieńskiej, rozpoczął się znowu wykład lekcji zbiorowych rysunku i malarstwa. Kierunek części artystycznej w tymże zakładzie przyjęli na siebie pp. Juliusz Kossak i Edward Pawłowicz. W programie kształcenia uczennic objęte są wszystkie rodzaje rysunku i malarstwa od najpierwszych początków, aż do studjów z natury i kompozycji. Oprócz nauki malowania pastelami i olejno, wykładanym będzie kurs rysunku ornamentacyjnego z zastosowaniem do potrzeb przemysłu, oraz rysunek na drzewie i drzeworytnictwo. Opłata podzieloną jest na dwie klasy; za naukę rysunku miesięcznie płaci się rsr. 4, za naukę rysunku na drzewie i malarstwa rsr. 5.

* W Starogrodzie pomorskim tego roku, między innymi, składał w tamtejszym gimnazjum egzamin dojrzałości, 32 letni abituryent. Przez wojskowość i wojny kilkakrotnie wyrywany z ławek szkolnych, jednakże nie spoczął rychlej, aż celu dopiął.

* Hiszpanja obejmuje 9200 mil kwad. wraz z Balearskiemi i Kanaryjskiemi wyspami. Mieszkańców ma przeszło 16 milionów. Co do rozległości Hiszpanja jest piątym, co do ludności zaś dopiero ósmym krajem Europy. W kolonjach posiada Hiszpanja jeszcze 8705 mil kw. z 6½ milionem mieszkańców. Europejska Hiszpanja dzieli się na 49 prowincji, bardzo różnych rozległością i ilością mieszkańców. Największą prowincją jest Badajar (407 mil kw.), najmniejszą Guipuzcoa (34 mil kw.). Z miast tylko Madryt Barcelona, Sewilla i Walencja mają nad 100.000 mieszk. Ludność prawie czysto katolicka. Szlachta dzierży rozległe własności ziemskie. Rolnictwo bardzo się podniosło, także i górnictwo. W górach Gadar i Lujor od roku 1826 otworzono 3500 szybów na ołów. Piąta część kraju porosła jest lasem. Kolei żelaznych miała Hiszpanja w początku zeszłego roku 675 mil, kanałów mil 94. Ma 117 portów, a roku 1864 marynarka handlowa liczyła 4613 statków. Dowóz roku 1863 wynosił 1396 milionów, wywóz zaś tylko 1219 milionow realów. Szkół ludowych jest 24.353, do których roku 1860 chodziło 1,101.529 uczniów, ale tylko ⅓ ludności umie czytać i pisać. Uniwersytetów jest 10, a roku 1865 studentów było w nich 9704. Wojsko roku 1865 wynosiło 236.300 ludzi, flota ogółem 1200 statków. Budżet dochodów roku 1866 dochodził 2⅓ biliona realów, rozchody przewyższyły go o kilka set milionów. Dług publiczny wynosi 16—18000 milionów (czyli około 1300 milionów talarów czyni 80 tal. na głowę). Prócz tego długu bieżącego 1600 milionów, na pokrycie procentów do roku 1865 już za 7200 milionów sprzedali dóbr publicznych.

* Donoszą z Kaliskiego, iż na gruntach wsi Sulmowa, natrafiono na uroczysko z przedchrześciańskiej epoki, przyczem znaleziono kilka urn.

* W Londynie ma obecnie wielkie powodzenie dramat *Mistres Dion-Boucicault;* w sztuce tej przedstawioną jest na scenie podziemna kolej żelazna londyńska ze swemi ciemnemi, długiemi sklepieniami, która na scenie przejeżdża głównego bohatera dramatu, leżącego na szynach. Dramat ten przedstawiony być ma w Paryżu z większym jeszcze efektem. Pokazuje się, że dla teraźniejszej publiczności dramata obyczajowe nie są wystarczającemi. Coż będzie gdy jej znudzą się widowiska podobne jak rozrywanie człowieka przez kolej? Nic zresztą dziwnego, że publiczność angielska rada przypatruje się podobnym widowiskom. Niedawno czytaliśmy bowiem w dziennikach o potwornym pojedynku dwóch zaciekłych Amerykanów na lokomotywy, którzy wyszedłszy z dwóch spotkań orężnych mniej więcej cało, postanowili w ten sposób użyć przewagi nad sobą. Jeden też okropnie poraniony z pourywanemi rękami i nogami padł ofiarą swej namiętności.

* Davison takiej się nabawił w Ameryce choroby, iż bodaj będzie mógł wystąpić kiedykolwiek na scenie. Cierpi on na ubezwładnienie języka. Również i śpiewaczka Fanny Janouschek powróciła cierpiąca z Nowego Jorku do Europy, a pani Ristori zebrawszy za 120 przedstawień w Stanach Zjednoczonych olbrzymią sumę 3,700.000 franków także zamierza opuścić scenę i zamieszkać w wspaniałej willi swej pod Florencją. Natomiast znakomita subretka Fryderyka Gossmann, obecnie baronowa Prokesch-Osten, wystąpi znów tej zimy w Niemczech na deskach teatralnych. Chwilowo przebywa z mężem i rodziną w willi pod Gmunden, której każdy pokój w innym przyozdobiony jest stylu, jak np. tureckim, egipskim, maurytańskim itd. Pani Prokesch najbardziej przecież lubi gabinet, którego ściany okrywają obrazy, przedstawiające najcelniejsze sceny z *Grille*, w której to sztuce Gossmann najświetniejsze zebrała wawrzyny. — W Berlinie zdumiewała w ostatnim czasie publiczność zręczność Miss Wiktorji, 17letniej dziewczynki, która na linie z drutu w wysokości dotąd niepraktykowanej po kilkakrotnie przebyła Szprowę i to raz podczas silnego wichru i deszczu. „Artystka" ta zwiedzać będzie całą Europę, pokazując swe sztuki. Jest ona rodem z Ameryki. Mniej pomyślnie powiodło się w Peszcie pannie Eufrozynie Braatz, która straciwszy na linie równowagę, spadła z znacznej wysokości i mocno nadwerężyła karku. — Dnia 16. lipca rb. zmarła w Piatyhorsku córka ostatniego władzcy Abchazji, księżniczka Nina Sierwaszidze. — W Australji rosną tak wysokie drzewa, że najwyższa wieża w Europie (466′) a nawet najwyższa piramida egipska (480′) mieścićby się mogła pod ich konarami. Drzewa 400—500 stóp wysokości mające należą do zwyklejszych; pewien podróżny nawet twierdzi, że mierzył drzewa na 2000 stóp wyrosłe. Odpowiednią też bywa grubość, 40 do 80 stóp objętości, a 25′ w średnicy. — Nad brzegami Suchego Dońca w pobliżu gniłowskiej stanicy znaleziono przy rozbijaniu kamieni skarb. W glinianym dzbanie odkryto kilkaset sztuk złotej monety bosforskiej, powiększej części z popiersiami Sauromata i Eupatorjusza; napisy są greckie. — Młody książę Thurn-Taxis, kuzyn cesarzowej austrjackiej i adjutant przyboczny króla bawarskiego zakochał się w ubogiej dziewczynce z ludu. By ją poślubić zrzekł się tytułu książęcego i przyjął nazwisko „Fels". Król Ludwik II. wyniósł go i małżonkę pod tym nazwiskiem do godności szlacheckiej. Zowie się zatem odtąd „von Fels".

* Pułki kobiece. Jak wiadomo, w armji paraguajskiej znajduje się kilka pułków amazonek. „Corriere de la Plata" ogłasza o tej kobiecej brygadzie sprawozdanie, zawierające bardzo ciekawe szczegóły. Sprawozdanie to pochodzi od żołnierza nieprzyjacielskiej armji, który się dostał w niewolę wojowniczek z Noembucu.

„Chodziło o wynalezienie brodu w rzece Tabiquari. Sierżant mój wezwał mię, ażebym bród ten zbadał i w tym celu wszedłem w wodę i przebyłem rzekę bez wszelkiego niebezpieczeństwa. Lecz zaledwie uszedłem dziesięć kroków z tamtej strony rzeki, aliści przytrzymany zostałem przez mniej więcej dziesięciu żołnierzy, którzy mię ze sobą zabrali i płazem pałaszów tak się właśnie ze mną obchodzili, jak jest zwyczajem w Buenos Ayres, kiedy prowadzą ludzi na policję. W tem przyśpieszający sposób przybyłem do Rancho, gdzie kapitan mieszkał. Był on w wielkim negliżu, a z pod białej jak śnieg, ozdobionej czarnym rąbkiem z wełny koszuli wyglądały kolosalnej pełni formy ciała brunatnego, tak że zaledwie można było wątpić o płci kapitana. Wzrok rzucony na moich dotychczasowych towarzyszów — gdyż dotąd nie pozwolono mi przyjść do przytomności — osłonił mi natychmiast tajemnicę: dostałem się w ręce pułku kobiet (baz pantofli). — Kapitan, który się właśnie czesał jak Lopelez, przerwał zajmujące to zatrudnienie, ażeby ze mną rozpocząć posłuchanie. Kapitan — kobieta usiadł na brzeg maty wiszącej, zapalił sobie cygaro Peli Pava, grubości wielkiego palca, i spoglądając na mnie modremi oczami, rozpoczął badanie w hiszpańskim języku.

— Ty nie jesteś Brazylijczykiem?

— Nie.

— A zatem jesteś Pitagwajczykiem (z tamtej strony wody; t. j. Europejczykiem)?

— Tak, jestem Europejczykiem.

— W takim razie mogę życie twoje ocalić, lecz pod pewnemi warunkami.

— I jakież są te warunki?

— Będziesz gotował jeść, nosił wodę i przynosił dzieci do piersi.

— Jak się to ma rozumieć?

— Bardzo prosto: Te z mych żołnierzy, które mają dzieci, nie mogą je przecież wszędzie brać ze sobą; dla tego mamy depot dzieci, a w pewnych godzinach przynoszą je do matek, aby były nakarmione.

— A jeżeli nie będę chciał tego czynić?

— To będziesz rozstrzelanym.

I był ów jeniec piastunem dzieci, dopóki nie odzyskał przypadkiem wolności.

Sprostowanie. W pierwszym arkuszu tego numeru wkradło się kilka znaczniejszych omyłek drukarskich w tragedji *Rejtan*, które należy sprostować jak następuje:

Str. 366, łom 2, wiersz 8, zamiast „mówiąc" — mówięć."
„ 367, „ 1, „ 14, po słowie „ziemi" — dopisać należy „szczęściu."
„ „ „ „ „ 18, zamiast „granie" — „granic."
„ „ „ „ „ 25, „ „z miłości" — „w miłości."
„ „ „ „ „ 3, od dołu zamiast „Mtej" — „Miej."
„ „ „ 2, „ 6, zamiast „sprzeczne" — „sprzecznie."
„ 368, „ „ „ 3, po „Zlituj" — dodtać należy: „się nad nami, Panienko święta!"
„ „ „ „ „ 20, zamiast „zmianę" — „ziemię.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.